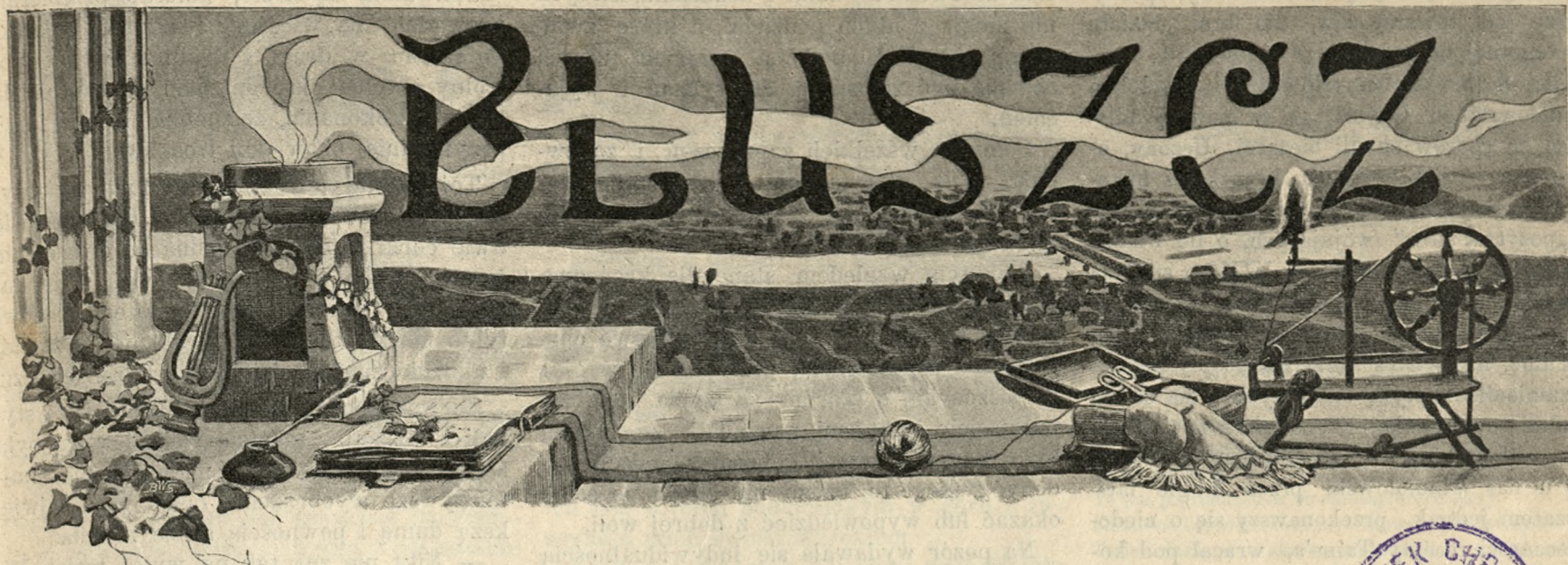




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincji z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincji z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Ś. p.

Piotr Chmielowski.



Przerzedzają się coraz więcej szeregi starszych pracowników na polu naszej literatury i nauki. W ostatnich kilku latach zstąpili do grobu: Józef Rogosz, Włodzimierz Stebelski, Włodzimierz Zagórski, Michał Bałucki, Mikołaj Rodoć-Biernacki, Klemens Junosza-Szaniawski, Michał Wołowski, Ignacy Sewer Maciejowski, Adolf Dygasiński i Walerya Marrené-Morzkowska. Do tych licznych, a w znacznej części przedczesnych mogił, przybyła temu dni kilka nowa: Piotr Chmielowski zgasł na zawsze we Lwowie.

Na pomniku Piotra Chmielowskiego powinna wdzięczna potomność wyryć złotymi literami jeden wyraz: Praca! Ten wyraz jest najwymowniejszą charakterystyką zmarłego krytyka i historyka literatury. Chmielowski był wcieleniem pracy—pracy niezwyklej, bezustannej, wyczerpującej, pożytecznej, owocnej. Inni byli może wrażliwsi na piękno, ale on wyprzedzał wszystkich pracowitością. Professor i redaktor, dziennikarz i krytyk, sprawozdawca naukowy i historyk literatury, nie stracił Chmielowski ani jednego dnia w życiu. Nawet wówczas, kiedy choroba płucna stargała jego siły, trawiąc go całe lata, nie używał zasłużonego uczciwie wypoczynku. Z Zakopanego, dokąd go lekarze warszawscy wysłali, zasypywał czasopisma artykułami, krytykami i feljetonami, między jedną gorączką a drugą budował obszerne dzieła, czytał wszystko, co wychodziło z pod tłoczni polskich, zawsze świeży, młody usposobieniem, żywością umysłu... niestrudzony, niezłamany.

Takiej pracy należy się cześć. Jest ona

zasługą obywatelską w każdym społeczeństwie, a jeszcze większą w naszym, które nie odznacza się wcale rozumem używaniem czasu. Praca gromadzi, stwarza; bez niej nie byłoby nauki, bez niej wędna talenty, wysychają najbogatsze źródła twórczości.

Wzór pracowitości, był Chmielowski równocześnie wzorem pisarza-obywatela. Literatura nie była dla niego prerafinowaną panią, zabawiającą się dla swojej przyjemności nastrojami, dreszczami, eksperymentami technicznymi, obcą wśród swoich, spoglądającą pogardliwie na „tłum,” na „motłoch,” lecz kością z kości, krwią z krwi, duszą z duszy sercem z serca społeczeństwa, z którego wykwitła. Wychowaniec i gorliwy zwolennik t. zw. pozytywizmu, biorący czynny udział w „wytrzeźwianiu” nowych pokoleń, Chmielowski żądał od literatury, aby służyła swojemu narodowi, kształcąc go, prowadząc, oświecając. Sam, jako dziennikarz i publicysta, nie zapominał nigdy o posłannictwie obywatelskim pióra, a jako krytyk podkreślał te idee i zasady, które uważał za pożyteczne. Nie wszyscy zgadzali się na jego poglądy jak inaczej być nie mogło, bo każde społeczeństwo żywe przebiega, wprawiając w ruch różne prądy, nikt jednak nie ośmielił się zarzucić mu kiedykolwiek nieszczeroci lub chwiejności przekonań. Uczciwy nawskróś, przejęty głęboko dostojnym posłannictwem pisarza, Chmielowski wierzył zawsze w to, co mówił i drukował.

Jako człowiek prywatny, nie miał zmarły historyk literatury nieprzyjaciół, bo mieć ich nie mógł. Uczynny, życzliwy, umiający oddzielić spory publiczne od stosunków towarzyskich, zostawił po sobie pamięć dobrego kolegi.

Wszystkie te zalety złożyły się na postać jednolitą i dodatnią, której zgon przedczesny zasmucił szczerze nie tylko jego towa-

rzyszów z pod tego samego sztandaru, lecz także jego przeciwników.

Piotr Chmielowski urodził się w r. 1848-m w Zawadyńcach, w pow. Kamienieckim. Nauki średnie (gimnazjalne) i wyższe (uniwersyteckie) pobierał w Warszawie. Studia swoje uzupełnił w Lipsku, gdzie uzyskał w r. 1874 stopień doktora filozofii.

Działalność literacką rozpoczął Chmielowski bardzo młodo, bo już w r. 1867-ym, jako student warszawskiej Szkoły Głównej. W roku tym umieścił w „Przeglądzie Tygodniowym” swoje pierwsze sprawozdanie z literatury niemieckiej.

Rosnące pokolenie zwróciło myśli i uczucia w kierunku praktycznym. Wytwarzała się gwałtowna reakcja przeciw młdemu przeidealizmowi, w którym konał romantyzm. Pokolenie, zaciągające się do szeregu pracowników publicznych, wysuwające się naprzód, na czoło społeczeństwa, szukało nowych, lepszych dróg. I jak zawsze w takich razach, zaczęło robotę od rozrywania gmachu dawnych pojęć i ideałów.

Na miejscu poezji, królującej w epoce romantyzmu, postawiono wiedzę i to wiedzę, opartą tylko na obserwacji i doświadczeniu. Usunięto zupełnie fantazję i intuicję. Uczucie zastąpiono rozumem, tym chłodnym, trzeźwym rozumem mózgu, który nie uznaje nic nadprzyrodzonego. Społeczeństwo usiłowało pchnąć na drogę praktyczną, na drogę t. zw. pracy organicznej, pracy u podstaw.

Gromadka młodych ludzi otoczyła „Przegląd Tygodniowy,” organ Adama Wiślickiego. Z tej pierwszej fortecy „pozytywizmu” szły gęste pociski w stronę zwolenników dawnych tradycji, w stronę t. zw. wsteczniaków.

Do tej gromadki szermierzów, których prowadził Aleksander Świętochowski, należał pomiędzy innymi i Piotr Chmielowski. Lecz od

pierwszej chwili więcej umiarkowany, spokojniejszy od towarzyszków, nie brał udziału w namiętnej polemice.

Kierunek zresztą umysłowości i upodobań Chmielowskiego trzymał go w pewnej odległości od sporów chwili bieżącej. Uczony, uprawiający z zamiłowaniem krytykę i historię literatury, należał właściwie tylko o tyle do „pozytywistów” wojujących, o ile wiedza niezależna drugiej połowy XIX-go stulecia mieszała się do jego specjalności. A mieszała się... Wiadomo, że francuzki estetyk, Hipolit Taine, marzył o stworzeniu recepty, która by zamieniła krytykę subiektywną na ścisłą, przedmiotową naukę. Tego marzenia szczerym zwolennikiem i krzewicielem gorliwym był u nas Chmielowski przez długie lata. Z czasem jednak, przekonawszy się o niedoścignięciu recepty Taine'a, wracał pod koniec życia do krytyki subiektywnej.

Pierwsze swoje recenzje, krytyki i studia literackie помещał Chmielowski w „Przeglądzie Tygodniowym”, „Bibliotece Warszawskiej”, „Niwie” i „Opiekunie Domowym”. Skrzydła krytyczne rozwinął po raz pierwszy szerzej w rozprawach p. t. „Geneza fantazyi” i „Artyzm i artyści” (r. 1873).

Dokładny spis wszystkich artykułów, studyów i większych dzieł Chmielowskiego nie miałby celu we wspomnieniu pośmiertnym. Znaleźć można długi szereg dat i tytułów w każdej encyklopedyi. W pobieżnym nekrologu wystarcza szkicowa charakterystyka.

Literatura polska straciła w Chmielowskim wielkiego pracownika, który zebrał całą górę pożytecznego materiału; społeczeństwo polskie prawego syna, który służył mu zawsze uczciwie, a kolledzy serdecznego przyjaciela.

Niech mu ziemia lekka będzie, bo zasłużył sobie rzetelnie, niezwykłym trudem pracowitego życia na ziemię lekką, na wypoczynek wieczny.

Teodor Jeske-Choiński.



Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

III.

Misia Taniecka siedziała w swoim gabinecie i nad otwartą szufladą swego panińskiego biurka, jedyne go sprzętu, który zabierała z domu matki po zamążpójściu, pochylała głowę w zadumie, zapatrzona jakby sennym wzrokiem w gruby kajet, leżący przed nią na spodzie szuflady.

Twarz miała bladą, ze smętnym wyrazem głębokiego zamyślenia, oczy podsiniałe, usta zaciśnięte.

Była samą, zapowiedziawszy służbie, że chce spocząć przed obiadem, bo czuje się niedysponowaną i pod tym pozorem zamknęła drzwi, aby jej nie przeszkadzano.

Potrzebowała tej samotności, tego sam-na-

sam ze swemi myślami i uczuciami, których nie mogła z nikim podzielić, a które zwłaszcza przed Henrykiem pragnęła ukryć, aby nie być zmuszoną do wyznań i wyjaśnień.

Pomimo wszelkich zaprzeczeń i zapewnień, miała swą tajemnicę, zamkniętą głęboko w sercu, które z natury nie umiało się zwierzać nikomu.

Pod tym względem stanowiła krańcowe przeciwieństwo z matką, nie odziedziczywszy po niej ani jednego rysu podobieństwa charakteru i usposobienia; wrodziła się w ojca nieboszczyka, o którym za życia najbliżsi przyjaciele i znajomi powiadali, że łatwiej było rozgryźć orzech kokosowy, aniżeli wydobyć z niego to, czego nie chciał po sobie okazać lub wypowiedzieć z dobrej woli.

Na pozór wydawała się indywidualnością, bardzo zwyczajną, wcale nie skomplikowaną, spokojną, nawet chłodną i pomimo łatwości obojętności, wyrobionej wychowaniem i szlifem towarzyskiej oglady w sferze, w której się obracała i wzrosła, była niełatwo przystępna.

Kobiety utrzymywały, że jest zarozumiałą i nazbyt zaufaną w swą piękność,—mężczyźni, że jest zimną i bez temperamentu.

Pani Peppa uważała swą córkę za dziewczkę, która często sama dobrze nie wie, czego by chciała, ale co prawda nie zadawała sobie nigdy trudu, aby ją zbadać i zrozumieć.

Gdyby nawet była podjęła się tego trudnego zadania, nie byłaby potrafiła zabrać się do niego, albowiem brakło jej dwóch najważniejszych rzeczy, zmysłu spostrzegawczego i cierpliwości.

Nie dostrzegła też nigdy, że nie posiada zupełnego zaufania swej jedynaczki i że od dziecka nie umiała się z nią obchodzić; widziała w niej tylko to, co stanowiło zewnętrzną, powierzchowną jej wartość: wdzięki, urodę, rasę, dobre ułożenie i wytworność panny „dobrze urodzonej.”

Jako matce, wystarczało jej, że Miszetka wyróżniała się w salonie pięknnością, uderzającą w oczy, że miała wszystkie dane na damę światową i że zwracała uwagę wszędzie, gdzie się tylko ukazała.

Z największą gorliwością i przejęciem dbała też głównie o to, aby wydobyć i uwydatnić wszystkie powierzchowne przymioty swej córki, która pod tym jednym względem poddawała się z jakąś apatyczną biernością tej macierzyńskiej tresurze, choć bardzo często widziała całą jej śmieszność i płytkość.

Był czas, kiedy próbowała sprzeciwiać się temu i opierać gwałtownym usiłowaniom matki zrobienia z niej wzorowej lalki salonowej, ale zbyt rychło przekonała się, iż na tym punkcie musiałyby się rozejść zupełnie i poróżnić na zawsze ze sobą w biegunowych przeciwieństwach pojęć, poglądów i dążeń; z jakąś pobłażliwą rezygnacją pozwoliła tedy kierować sobą w tem ciasnym kółku światowych i towarzyskich względów, odgraniczywszy się we wszystkim, co stanowiło duchową jej dziedzinę, istnym murem chińskim od matki, nie zdolnej ani zgłębić, ani pojąć jej właściwej istoty.

Pozwalała się stroić, ubierać, przebierać, prowadzić na wieczory i zebrania z jednego salonu w drugi i traktować, jak dowolny automat, którym pani Peppa bawiła się w przekonaniu, że spełnia najlepiej i najprzykładniej obowiązki troskliwej matki.

Tej biednej pani Peppie ani do głowy przyszło, że w swojej jedynaczce ma właściwie dwie córki, z których jedna do drugiej nie jest w niczem a niczem podobną i że ta, którą się pyszni przed światem stanowi tylko maskę tej innej, wcale jej nieznanej i niewidocznej dla jej krótkowidzących oczu.

Ze wszystkich, którzy zbliżali się i stykali z Miszetką, mamą Dobrojewską była zapewne jedyną istotą, mającą o niej najfałszywsze wyobrażenie; mimo to z największą dumą i pewnością siebie mówiła:

— Nikt nie zna tak na wylot mojej Miszetki, jak ja!.. ja z góry wiem nawet, co ona robi, co pomyśli. Znam ją lepiej od niej samej!..

Mylila się przez całe lata, nie wiedząc, że nawet matka nie potrafi sięgnąć głębiej w duszę swego dziecka, jeżeli sama nie posiada duchowej głębi w sobie i że człowiek człowieka o tyle wybadać i zrozumieć może, o ile mu samemu starczy tej umysłowej i uczuciowej sondy, którą zapuszcza w drugą istotę ludzką.

Gdyby jej kiedy przypadkiem wpadł był do rąk ów gruby kajet w safianowej oprawie, nad którym teraz zadumała się Miszetka i gdyby mogła była odczytać uważnie wszystko, co się w tym panińskim pamiętniku nazbierało, byłaby z największym zdziwieniem spostrzegła po raz pierwszy w życiu, że swojej córki jedynej nie знаła dotąd wcale i że się ludziła tylko pozorami, po za które nie była zdolną sięgnąć bystrzejszym wzrokiem.

Gdyby ją była widziała teraz przewracającą drobnem, okrągłym pismem zapelnione karty pamiętnika, byłaby nie poznała tej swojej Misi codziennej, na którą przywykła patrzeć o tyle badawczo, o ile chciała się przekonać, czy jej do twarzy w nowym kapeluszu od Boszowej, lub w nowej toalecie od Hersego, czy nie jest za bladą lub za różową i czy nie należałoby upiąć wyżej lub przeczesać gładziej tych bujnych, falistych włosów, które niby złotą aureolą otaczały kształtną główkę dziewczyny.

Miszetta przeglądała swój pamiętnik z czasów panińskich i odczytywała z niego pojedyncze ustępy w rozmaitych epokach życia skreślone; były tam całe karty, zasypane istnem mrowiem wyrazów, to znowu pojedyncze, urwane słowa, rzucone na prędce, w pośpiechu, niby logarytmy myśli, refleksyi i wrażeń, które tylko ona sama mogła odcyfrować i rozwinąć; były zanotowane stronic i tytuły przeczytanych książek z krótkimi uwagami, powtórzone urywki rozmów, niewiadomo z kim i kiedy prowadzonych, krótkie cytaty wierszem i prozą, bez wymienienia autorów i dzieł, z których je zaczerpnęła.

Niekiedy, jakby dla ćwiczenia się w obcych językach, przegradzała ustępy po polsku pisane, poprawną francuzczyzną, całe-

mi zdaniem po angielsku, po niemiecku i po włosku.

Odwróciła kilka kartek i wzrok jej zatrzymał się dłużej na zakreślonej cytacie z Heinego:

„*Verfehlte Liebe, verfehltes Leben*,” a poniżej olówkiem stała dopisana notatka:

„Pierwszy raz słyszałam to od niego.”

Zmarszczyła brwi i czytała dalej.

„Gdyby oni wiedzieli, jak mnie razi ta zfrancuziała zmiana mojego imienia, które za mamą powtarzają!... Dlaczego ja mam być koniecznie Miszetką, Miszą, Miszetką, a nie Micią, jak mnie ojciec nazywał, lub poprostu zwyczajną Michalinką?...”

Mamie się podoba być Peppą, bo jej się zapewne wydaje, że jest urodzoną Paryżanką z bulwarów. Józia, to brzmi w jej uszach zanadto pospolicie, tembardziej, że nasza szwaczka nazywa się także Józią; mama kazała wołać na nią: „Panno Józefino”, bo to ma być arystokratycznie.

Boże, jakie to śmieszne a jakie smutne, kiedy tę śmieszność popełnia ktoś, kogo powinienem bardzo poważać i kochać!...

W innym miejscu zatrzymała się dłużej przy takim ustępie:

„Czasem mi się wydaje, że nasz świat jest jednym wielkiem Panopticum, w którym ja udawać muszę woskową figurę, stojącą w jednej pozie z oczyma wstydlawie spuszczone i z głupim, panieńskim uśmiechem na ustach, aby odsłonić koniecznie ząbki, rozumie się perłowe i jeszcze bez żadnej plomby!...”

Czuję spojrzenia tych salonowych gapiów i mam wrażenie, jakby po mnie muchy laziły, zwłaszcza kiedy jestem w dekoltowanej sukni.

Mama lubi chwalić się moim biustem i także mi wdziawać wycięte staniki na duże zebrania.

Obrzydliwa i bezmyślna moda!...

Czy oni tego nie rozumieją, że można zohydzić i ztrywializować klasyczne piękno jednym nedorzecznym szczegółem?

Nalóżcie Wenus Medycejskiej tylko gorset, albo ażurowe pończoszki a z tej samej poważnej bogini zrobi się bezwstydną rozpustnicą!

Spoglądałam śmiało i bez zgorszenia na Apollina Belwederskiego, chociaż jest nagi, ale z niesmakiem i rumieńcem wstydu odwróciłabym od niego oczy, gdyby miał tylko rękawiczki.

Rozmawialiśmy z Nim o tem wczoraj, przeglądając albumy sztuki europejskiej w salonie; przytakiwał mi, ale miał jakieś dziwne błyski w oczach i cyniczny uśmiech pod wąsem, który mi się nie podobał.

— Julku, nie lubię cię takim — powiedziałam mu otwarcie.

— A lubilabyś, gdybym był innym? — spytał.

— Zapewne, tylko że toby ci się na dłużej nie udało.

— Spróbuj mnie lubić, ale tak, jak tego pragnę, a zobaczysz, jak się zmienić potrafisz! — powiedział i spojrzał mi głęboko w oczy, nie w nich nie wyczytawszy.

Com ja winna, że nie umiem uwierzyć!... a zresztą, na coby się to zdało?”

Zagryzła usta i westchnęła, przewróciwszy znowu kilka kartek.

„Pocałunek mężczyzny może być najwyższą podłością”, — przeczytała kilka wierszy dalej; obok na marginesie była data: „5-go Maja w Natolinie”, — a poniżej:

„Słuchać o miłości bez wiary i przekonania, to jakby tańczyć bez muzyki; czasem wydają się sobie aż śmieszną a czasem znów pożałowania godną.

Doznaję dziwnego uczucia, kiedy jesteśmy z sobą we dwoje.

Zdaje mi się chwilami, że obserwuję węża, który zwinięty w pierścienie leży u moich nóg z łbem podniesionym w górę i fascynuje mnie swoim wzrokiem.

Leży nieruchomy, ale jak przycięta sprężyna, naprężony do skoku — i to mnie przytrzymuje w miejscu.

Mierzmy się oczyma i to całe moje szczęście zapewne; trzymam go siłą spojrzenia i obojętnością w ten sposób, inaczej możeby się rzucił na mnie i pochwycił w swoje zwoje, jak w pętlę.

Czuję, że czycha a zapewnia, że kocha i niezego nie pragnie.

Co za potworna byłaby w nim natura, gdyby to wszystko było tylko kłamstwem i przewrotnością!...

Pierwszym mężczyzną musiał być nie Adam, ale ów wąż kusiciel w raju.

Czemuż po matce Ewie musiałyśmy odziedziczyć i jej fatalność!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z podmuchem wiosny.



Szumia lasy, szumia gaje,
Wtórzą rzeki i ruczaje,
Wszędy krąży wieść radosna:
Wiosna idzie, wiosna!

Idzie, słychać w każdej stronie,
W różnych głosach — różnym tonie,
W borze każda szemrze sosna:
Wiosna idzie, wiosna!

Idzie świeża, uśmiechniona,
Otworzywszy swe ramiona;
A pieśń płynie w dal miłosna:
Wiosna idzie, wiosna!

Idzie, niosąc miłe wonie,
Jakby przez sen szepcą błonie:
Znika zima, precz, żalonna,
Wiosna idzie, wiosna!

Zima twarz ponurą, wrogą
Odwróciwszy, krztusi z trwogą:
Przyszła kwieciami niezadrosna
Wiosna przyszła, wiosna!

Antoni Koźluk.



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpińską.



(Ciąg dalszy).

On na to:

— Co hartuje — lepsze, niż co pieści,
Nie znasz celu, więc cenić nie umiesz boleści:
Boleść — to w złem dobrego wielka tajemnica,
To świętych, bohaterów i mędrców rodzica,
To sroga, różgą zbrojna jest wychowawczyni,
Która z zepsutych dzieci dzielne męża czyni,
To jest pogromicielka, co chłostą swych biczu
Krnąbrne i sprośne zwierzę — krew i ciało ćwiczu,
To jest cierań, po to skryty wśród posłania z róży,
Ażeby się wędrowiec zrywał do podróży,
Aby nie drzemał w miękkim, samolubnym bycie,
Ale rzeźwy i czynny dzielnie szedł przez życie;
— A choć znajdują się zawsze tacy mdli żołnierze,
Którym walka broń złamie i siły odbierze,
Lecz mniejsza o te trzcinę, które wiatr ugina,
Siłą, chlubą ludzkości jest dzielna drużyna
Tych, co pod przeciwności pięścią bezlitosną
W atletów olbrzymieją, w bohaterów rosną,
A duch ich, w ciężkiej próbie oczyszczony, wlecia
Nad pychę, samolubstwo i nieczemność świata.
— Więc, rzekłam, twój Bóg dobrym nie jest na to dosyć,
By uszczęśliwić, cierpień nie każąc wpięć znośić?...
— Jajmużny żadasz?... odparł. Bóg jest sprawiedliwy,
Więc chce, by tylko taki plon nam dały niwy,
Które hojnie zrosimy potem własnej pracy,
Bo myśmy robotnicy Pańscy, nie żebracy,
Powiedział Ten, którego natchnienia w nas wleły
Wstręt do nieprawych zysków i niesłusznej chwały,
Że doskonałą wartość ma tylko to szczęście,
Które zdobyły własne walczące pięście,
Bo dobroć Jego wzniosłych dla nas chce rozkoszy,
A jakaż rozkosz tego, który się panoszy
Na cudzem, bez zasługi!...

— Tak... — rzekłam po chwili

Rozważania, — lecz umysł wyżej się wzbicił sili
I żąda odpowiedzi na nowe pytanie.
Po co ten Bóg — w istności doskonałej stanie
Wiedząc, że wszystko może, zapragnął móżdżek w czynie,
Wyszedł z bezdny spokoju — i w twórczej godzinie
Zdziałał ziemię i ludzi, jakie miał w tem plany?
On odrzekł:

— Bóg chciał kochać i chciał być kochany —
I dlatego świat stworzył. Przyczyną wszechbytu
I jego celem — miłość, więc u stworzeń szczytn
Stoi ta zdolna kochać rozumnie istota,
Którą po szczeblach tworów, przez kręgi żywota,
Stwórca prowadzi z prochu aż do wniebowzięcia,
Aż w swojej wzajemności miłosne objęcia...
Oto są Boże plany; czyś je zrozumiała?
Czy przejmuje cię moc ta i dobroć wspaniała?

— Nie! — rzekłam, — jak mam wielbić, gdy pojąć nie mogę
Istoty tego Boga? Budzi we mnie trwogę
Ta jakaś doskonałość niezrównana z niczem,
Ta nieznaną potęgą z zakrytem obliczem...
Jakże ty to, co nie jest dla zmysłów widomem,
Co nawet mędrców swoim przerazi ogromem,
Jakże ty bezcielesną tę ideę bóstwa
Uczynisz zrozumiałą dla maluczkich mnóstwa?...

On na to:

— Teraz w tobie wschodzi jasna zorza
Dzień prawdy... Myśl twa z myślą spotyka się Bożą!
Tak; nie tylko prostaczkom, lecz i mędrcom trudno
Odgadnąć, co jest prawdą, co chimera złudną
W pojęciach, których sądzić nie można przez zmysły,
Ponieważ ludzkie sądy w połowie zawisły
Od tego, co stanowi połowę człowieka —
Od fizycznej powłoki, co ducha obleka.
Ale Bóg — wiedząc o tem — ideę boskości
Wyłożył człowiekowi najjaśniej, najprościej —
Bo światłość swą do słabych zastosował powiek —
I sam się stał człowiekiem — by go pojął człowiek!

—Uż ten Bóg—rzekłam,—działał pod ludzką postacią?...
 — Żył z nami,— odpowiedział,— jak brat żyje z bracią —
 I tak się do nas zniżył, ażebyśmy wszyscy
 Mogli wznieść się do niego i stać mu się blizcy.
 Nie utworzył on szkoły światowej mądrości,
 Ni systemu, co w mrokach abstrakcyjnych gości,—
 Lecz całą swą naukę, jasną, prostą, zdrową,
 Włożył w jedno, dla wszystkich zrozumiałe słowo,
 A tem słowem jest miłość, a w tem jednym słowie
 Chrześcianin wszystko zawrze, wszystko niem wypowie...

Lecz wy o tem nie chcecie wiedzieć. Wy mówicie,
 O jakichś strasznych spiskach, knutych przez nas skrycie,
 O tem, że nasza wiara jest ludzkości wroga.
 Że chce jej ustrój zmienić mordem i pożogą.
 Tak mówi Rzym pogański.

A teraz, ja tobie

Naszych dróg, naszych celów wierny obraz zrobię,
 Ukazując ci przyszłość,— tę przyszłość, ku której
 Będziem iść — nie ustając, iść — przenosząc góry,
 Iść — bijąc o mur głową,— aż staniem u mety...
 O! spójrz ty w górę czuciem serdecznem kobiety,
 O! spójrz ty czystej duszy natchnieniem proroczem
 W dal, co dla oka wiary lśni prawdy przeźroczem,
 O! wleć ty nad obecność, po za setne lata,
 O! przejrzyj i patrz ze mną w przyszłą postać świata:
 Widzę... widzę z pod starcey, przygasłej powieki
 Owo królestwo Boże przyszłości dalekiej...
 Śnię sen, który nie będzie marzeniem znikomem...
 Oto ludzkość się stała jednym wielkim domem,
 Przy którego ognisku, co je miłość nieci,
 Są tylko bracia, siostry, rodzice i dzieci,
 Jedna liczna rodzina... Znikły szczepy, stany,
 Tyran skruszył swe berło, niewolnik kajdany,—
 I zrównali się z sobą biedni i bogaci,
 Bo ojcowizna poszła na równy dział braci,
 Bo każdy, co posiadał własny płaszcz dostatni,
 Rozciął go — i połowę dał z miłości bratniej;
 Temu, co nie miał płaszcza...

Gdy wszyscy dostali

Czego, któremu brakło, pod młoty kowali
 Poszła broń na lemiesz, znikły wojny, zbrodnie,
 Płyną dzieje ludzkości spokojnie i zgodnie,
 Bo walczyć o byt niema potrzeby, ni chęci
 Tam, gdzie wszyscy szczęśliwi, gdzie wszyscy są święci,
 Gdzie każdy widzi cel swój u wieczności progu,
 Gdzie byt jest dla każdego dążeniem ku Bogu.
 A znasz ty robotników, którzy, jak należy
 Pracują dla przyszłości tej?... Znasz tych żołnierzy,
 Którzy z nieustraszonem walczą mężstwem o nią,
 Których tarczą — cierpliwość, poświęcenie — bronią,
 Którzy jej niosąc mienie, wolność, życie w dani,
 Nie sami zabijają — lecz są zabijani?...
 Spójrz ty o! przed siebie w ten kurytarz długi:
 Widzisz te czerniejące z obu stron framugi?
 W każdej z tych framug trumna, a każda zawiera
 Popioły bohaterki, albo bohatera.
 W tym wieńcu kwiat się wszelki splata bez różnicy:
 Patrycyuszka tam leży obok niewolnicy,
 Prostaczek — obok mędrca, obok optymata
 Plebejusz, lub przychodzień jakiś z końca świata,
 A wszystkich już nie różni wiek, płeć, stan, ród, państwo--
 Bo złączyła ich wspólna idea — chrześcijaństwo,—
 Bo ich wszystkich cel jeden, jedna była droga,—
 Wszyscy żyli dla bliźnich, umarli dla Boga...
 Ach! a my z naszych zasług chlapiący się dumnie
 Czemże jesteśmy przy nich?...

Wiesz, kto spi w tej trumnie,
 O którą się opierasz?... Dziewczę młode bardzo
 Ze stanu, którym dumne patrycyuszki gardzą,
 Niewolnica. Nie była piękna, ni uczona,
 Okrywała wytartą tuniką ramiona
 Poklute złotą pani kapryśnej iglicą,—
 I nie miała nic z tego, czem się ludzie szczycą;
 A jednak — o Augusto! prostaczka nieznana
 Siadnie na wyższym miejscu przed tobą u Pana,
 Bo dała bardzo wiele, choć miała tak mało,
 Dała życie za prawdę wyznawaną śmiało;
 A ty,— mądra, potężna, uczona, wspaniała,
 Cóż ty dała Bogu?... Coś ty ludziom dała?...
 Czemże ty jesteś przy niej?...

Wstał wielki przede mną —
 I wzrokiem, co płomienie ciskał w przestrzeń ciemną,
 Patrzył na mnie surowo...

Jako polne ziele,
 Gdy się podcięte sierpem do nóg żenica ścięło,

Na ziemię padłam, dumną w proch zchylając głowę.
 W myśli mej nagle błysło jakieś światło nowe,
 Coś, jak grom z błyskawicą w pierś mi uderzyło,
 Serce z jakąś nieznana wstrząsnęło się siłą —
 I olśniła mi duszę, w proch ciskając ciało
 Niepojęta potęga — łaska...

Więc nieśmiało

Ujęłam dłonie starca — i wołałam z mocą:
 Chcę uwierzyć!... Chcę wiedzieć, jak mam żyć i po co,
 O, starcze! daj mi rękę — i wiedź mię, jak dziecię,
 Choćby przez śmierć i mękę — tam, gdzie wy idziecie!

I znikł surowy sędzia, a podniósł się z ziemi
 Ojciec pelen dobroci. Słowy łagodnemi
 Ukoił moje serce, pokrzepił mi duszę,
 A w dobrej w moc i szczerość mej chęci otusze,
 Kazał znów przyjść w podziemia.

Odtąd, co wieczora,—

Biegłam do tego źródła, w którym dusza chora
 Czula, jak jej niepokój i jej ból się zmniejsza —
 I coraz się stawałam lepsza, roztropniejsza,—
 Lecz nie z własnej zasługi, tylko z Bożej łaski,
 Pod wpływem tej nauki, co swojemi blaski
 Lśni, jak morska latarnia nad duszy otchłania,
 W której się błędy, żądze i bóle bałwanów...
 Aż przyszła noc dzisiejsza — noc wielka, szczęśliwa —
 I zdrój wody, co z duszy wszelką skazę zmywa,
 Spłynął na moje czoło...

Chwała tobie, Chryste!

Teraz daj mi śmierć rychłą — lub życie tak czyste,
 Abym w tej białej szacie nieskalanej niczem
 Stała się kiedyś śmiało przed Twojem obliczem..."

Doba dziejowa, w której doktryna Chrysty-
 nizmu rzucała pierwsze garście swego siewu
 na tłustą od krwi i kału rzymską ziemię, by-
 ła przełomową w żywocie ludzkości. Umierał
 świat starożytny, rodził się świat nowożytny.
 Wprawdzie polityczna historia Rzymu,—któ-
 ry wówczas sam jeden reprezentował wchło-
 nięte przezeń wszystkie stare społeczeństwa,—
 nie dobiegała jeszcze ostatniej swojej karty,
 ale już się rozpoczęła—aby trwać cztery wie-
 ki — agonia tego olbrzyma, który ducha swe-
 go, to jest stanowiące niegdyś żywotność je-
 go idee, oddawał w ręce innych idei, tych,
 co miały stać się społeczną duszą nowoży-
 tności.

Chryścianizm, zwany przez swych wyznaw-
 ców „dobrą nowiną“ w znaczeniu duchowem,
 był także nowiną w znaczeniu społecznem,
 nowiną niesłychaną, zdumiewającą, olśniewa-
 jącą jednych, oburzającą drugich. Począł
 on bowiem w swoim łonie zarodki tych nie-
 znanych dotąd pojęć, które w przyszłości
 dziejowej miały kolejno wykluwać się z ducha
 czasu, aby po stopniach coraz doskonalszej
 ewolucji, prowadzić do coraz sprawiedliwsze-
 go unormowania międzyludzkich stosunków.
 Pomimo swego ideowego nowatorstwa, adepti
 chrześcijańskiej doktryny, względem starego
 ustroju społecznego zachowywali się całkiem
 biernie, żadnej opozycji nie stawiając istnieją-
 cemu porządkowi rzeczy, żadnej ustawy znieść
 nie usiłując, żadnej władzy nie próbując so-
 bie przywłaszczyć. Według ich przekonania,
 jedyną istotą ludzką, jakiej człowiek ma prawo
 gwałt zadać, którą winien popychać przymu-
 sem na drogę sprawiedliwości, było dla ka-
 żdego jego własne ja. W skrajnej sprzecz-
 ności ze współczesnymi, którzy wszystko co
 słabsze od siebie tyranizując, sami poddawali
 się tyranii swych namiętności, Chryścijanie
 zewnątrz siebie nie narzucali nic nikomu, nie
 buntowali się przeciw niczemu, nie dążyli do
 jakiegokolwiek zmiany za pomocą siły, lecz
 przeniósłszy *absolutum dominium* z zewnątrz
 na wewnątrz, wymagali sami od siebie bez-

względne posłuszeństwa dla swoich praw
 moralnych, których niezłomność twardszą by-
 ła, niż edykty bozkich Cezarów.

I w tych to właśnie prawach moralnych
 tkwiły owe zaczątki przyszłych zmian ustro-
 jowych. One to, nie burząc żadnego filaru
 w gmachu państwowym, usuwając jedynie
 swych zwolenników od współdziałania tam,
 gdzie każdy silniejszy dokładał swój kamień
 do ciężaru, który gniótł każdego słabszego,
 w ten tylko sposób przygotowywały ową da-
 leką przyszłość, w której wsiąknięcie chře-
 ścijańskiej zasady w życie społeczne, miało
 powoli przeprowadzić wszelkie słuszne eman-
 cypacje. A tymczasem Chryścianizm nie wy-
 stępował czynnie przeciw żadnemu z upra-
 wnionych bezpraw, nie domagał się żadnej
 innej reformy, prócz duchowego odrodzenia
 każdego ze swych adeptów. Więc adepci je-
 go, zamiast wywoływać przedwczesne prze-
 wroty, jak np. zniesienie niewolnictwa, albo
 absolutyzmu rodzinnego, albo prawnego uni-
 cestwienia kobiety, reformowali tylko własne
 postęпки: uważali niewolnika za brata, dziec-
 ko swe za depozyt święty, żonę swą za ró-
 wnego sobie człowieka. Brakowało prawie
 dwa tysiące lat do chwili, gdy na nieodkry-
 tych jeszcze nowych ładach miały się odbyć
 pierwsze próby parlamentarnego—a więc cał-
 kowitego—równouprawnienia kobiety, gdy już
 Paweł św. pisał w liście do Galatów: „Nie
 jest Żyd ani Greczyn, niewolnik ani wolny
mężczyzna ani niewiasta, albowiem wszyscy wy
 jedno jesteście w Chrystusie Jezusie.“

(Ciąg dalszy nastąpi).



MORALNE WPŁYWY

W USTROJU FIZYCZNYM CZŁOWIEKA,

podług

d-ra Feliksa Régnauld.



Przed stu laty Cabanis napisał dzieło o sto-
 sunku, jaki zachodzi między moralną a fzy-
 czną stroną człowieka, a liczne dowody zo-
 stawione przez niego, mają wartość jeszcze
 w czasach dzisiejszych.

Sprawa powyższa zyskała obecnie oparcie
 na naszych badaniach, dzięki odkryciu ner-
 wów naczynio-ruchowych, dokonanemu przed
 50 laty przez Claude-Bernarda.

Za pośrednictwem nerwów naczynio-rucho-
 wych mózg oddziałuje na wszystkie nasze
 narządy. Do tej pory zbadano czynność na-
 czynio-ruchową, wywołaną na drodze odru-
 chów. Lecz zarówno mózg może wywoływać
 podobne zjawiska: mianowicie nie tylko wzru-
 szenia, lecz poddawanie, czyli sugestję, a na-
 wet wolę.

Wszystkie te zjawiska były dawno znane
 lekarzom i fizyologom, nie dokonywano jed-
 nak badań bardziej szczegółowych, a niezbe-
 dnych dla wyjaśnienia wzajemnego stosunku,
 jaki zachodzi między wyżej wspomnianymi
 zjawiskami. Praca niniejsza stanowić będzie
 przyczynek do omawianej sprawy.

Zacznijmy najpierw od ośrodka narządu krążenia t. j. od *serca*. Wiemy, że pod wpływem wzruszeń, jak gniew, strach, i t. p., następuje przyspieszenie albo zwolnienie bicia serca, albo nawet powstrzymanie jego czynności. Silny przestach zabić może przez *zapaść*. Nadto, niektórzy fizyologowie twierdzą, że pewne wyjątkowe osoby, mogą dobrowolnie wpływać na przyspieszanie, zwalnianie a nawet powstrzymanie na kilka chwil bicia serca: fakta stwierdzone przez E. I. Webera, Wendlinga, J. B. Tarchanoffa, pułkownika Towsenda i t. d. Ten sam wpływ może mieć poddawanie z zewnątrz: Beaunis, Krafft-Ebing, Bérillon umieli zwalniać bicia serca.

Jeżeli silny, nadmierny przestach może spowodować śmierć wskutek „zapaści“, to z równym prawem śmierć może nastąpić przez poddawanie, tak jak następuje wskutek poważnych zmian w ustroju. Pojmujemy wtedy, w jaki sposób w średnich wiekach, czarzy z woskowymi figurkami były w stanie zabijać ludzi. Istota rzeczy polegała nie na formule zaklęć i zawiłym rytuale, używanym przy ukłuciu w serce figury woskowej, zrobionej na obraz upatrzonej osoby, lecz na tem, że ta osoba знаła owe sposoby i wierzyła w ich skuteczność. W ten sposób wytłumaczyć można fakta, przytaczane przez historię, że kaci którym ich ofiary przepowiadały chwilę powołania ich przed Sąd Boży, w istocie umierali w oznaczonym terminie.

Zastanówmy się obecnie nad *krwiobiegiem obwodowym*. Niektóre wzruszenia, jak gniew, strach wywołują zaczerwienienie lub zblednięcie twarzy. Uwaga zwrócona rozmyślnie na pewną okolicę ciała sprowadza obrzmienie i zaczerwienienie takowej. Poddawanie (sugestia) może oddziaływać podobnie, sprowadzając umiejscowione przyływy krwi wskutek rozszerzenia naczyń. Dumontpallier, Krafft-Ebing, zdołali w ten sposób podnieść ciepłotę miejscową o kilka stopni. Dużo wspólnego z tem posiada dermatologia: jeżeli przy pomocy igły rysuje się figury na skórze osoby nerwowej, w krótkim czasie występują linie czerwone i wystające podobne do pokrzywki. Jest to odruchowe rozszerzenie naczyń.

Zjawisko to — dobrze znane obecnie — dla sędziów średniowiecznych było niewątpliwym dowodem stosunków z szatanem; na tej też zasadzie skazywano na stos nieszczęśliwych historyków.

Oprócz tego wiadomo, że usilna uwaga lub wzruszenie mogą wywoływać podobne zjawiska. Karol Richet i Barthélémy przytoczyli fakt następujący: Matka bardzo nerwowa spostrzegła nagle, że pręt franki źle zawieszony, może spaść na szyjkę jej dziecka klęczącego obok. Groza niebezpieczeństwa i przeżenie jakiego doznaje, wywołuje natychmiast pręgę wydatną i krwawą na jej szyi, w miejscu, gdzie dziecko mogło być uderzone.

Analogiczne samopoddawanie (auto-sugestia) spotykane bywało u niektórych zakonników świętych. W uniesieniu ekstazy, przejęci myślą o męczeństwie Chrystusa, widzieli występujące na własnym ciele krwawe znamiona biczowania.

Linie dermatologiczne są pierwszym sto-

pniem całego szeregu zbroczeń, wywołanych przez zaburzenia naczynio-ruchowe.

Miejscowe zwolnienie krwiobiegu (cyrkulacji krwi) wywołane przez rozszerzenie naczyń, powoduje rozciągnięcie takowych i przechodzenie białych ciałek krwi; podobnie wywołany wysięk może skupić się pod naskórką i wytwarza pęcherz, jak przy pęcherzycy. Można również przez poddawanie wywołać powstawanie pryszczów. Doktorzy: Charcot, J. Rybalkin, robili podobne doświadczenia: poddawali danemu osobnikowi myśl o oparzeniu; wkrótce potem wskazane miejsce obrzmiewa, tworzy się grudka czerwona, następnie pęcherze. Doktor Focachon, doktor Briaud z podobnym skutkiem przyklepiali na skórze niewinny papier, wmawiając, że to pryszczydło (wezykatorya).

Samopoddawanie i poddawanie z zewnątrz wywołują również wynaczynienia, w skutek czego powstać może ziarnowata, krwawiąca rana.

Widzimy zatem, że zaburzenie czysto czynnościowe, wywołane przez wpływ nerwowy, wytwarza wadę ustrojową. Jest to fakt pełen znaczenia, zwłaszcza, gdy weźmiemy pod uwagę, że nie wielu lekarzy przyznaje występowanie chorób czynnościowych, a tem mniej, że choroby czynnościowe zawdzięczają powstanie wpływom duchowym.

Zjawiska naczyniowo-ruchowe wyjaśniają nam tajemnicze piętna, słynne w wiekach średnich i w czasach Odrodzenia.

Święty Franciszek z Assyżu (1224), święta Katarzyna Seneska (1483) w uniesieniu modlitwy odczuwali wszystkie bóle Męki Pańskiej. Uwaga ich, z całą siłą natchnienia, skierowana ku miejscom, gdzie gwoździe i strzała przebiły Ciało Chrystusa, wywołała pryszcz, następnie krwawiące rany. Powtarzające się bezustannie podobne owrzodzenia, wytwarzały u św. Franciszka z Asyżu, a w późniejszej dobie u św. Ludwika Lataud — krwawiące blizny, w postaci łepków od gwoździ. U niektórych napiętnowanych pokazywały się krwawe łyzy lub krwawy pot na czole, na podobieństwo korony cierniowej Chrystusa Pana.

W wiekach powyższych, XIII-ym i XV-ym, podobne piętna miały wielkie znaczenie. Niektórzy zakonnicy uciekali się nawet do oszustwa; innym, w mistycznej ekstazie, zdawało się, że są napiętnowani, i po rozbudzeniu dopiero, przekonywali się, że to było złudzenie; inni wreszcie fanatycy rozegzaltowani, skazywali się dobrowolnie na śmierć krzyżową.

Jeżeli krwawienie można wywołać na skórze w skutek rozszerzenia naczyń, to tem łatwiej wywołać to zjawisko w błonach śluzowych: tym sposobem krwotoki z nosa, wymioty krwawe i t. p., często zależą od wpływów nerwowych, i mogą się przejawiać bez obecności zmian ustrojowych. Mogą być także wywołane przez poddawanie. Doktorzy Ramadier, Mabilie, Bourru, wywoływali w ten sposób krwotoki nosowe.

Samopoddawanie może również je sprowadzić: pewna kobieta dostała krwotoku z nosa w czasie burzy; uwierzyła, że między temi zjawiskami istnieje jakiś związek przyczynowy — i odtąd ilekroć była burza, krew płynęła jej z nosa.

Poddawanie, wywołujące rozszerzenie na-

czyn — przyczynę krwotoków — może również sprowadzić leczniczy skurcz naczyń. Nie jeden chory plujący krwią, albo cierpiący na wymioty krwawe, przekonany, że ma wadę organiczną, zostaje uleczony w czasie pielgrzymek, wierząc, że stało się to dzięki cudowi.

Poddawanie może powstrzymywać krwotoki z ran. Wiadomo, że u niektórych historyków ukłucia nie krwawią. Derwisze w czasie różnych ćwiczeń, zadają sobie rany, z których kropla krwi nie wychodzi: tutaj skurcz naczyń wywołany zostaje specjalnym stanem umysłowym. Poddawanie z zewnątrz może sprowadzić ten sam wynik: ztąd pochodzi wiara w talizmany, które mają jakoby chronić od ran w czasie wojny. Grecy magicznymi słowami leczyli i goili rany swoje. Homer w „*Odyssei*“ (pieśń XIX) przytacza, że Ulissesowi zranionemu przez dziką, zatamowano krwotok spiewaniem pieśni. Doktor Hikmet opowiada zdarzenie, którego był naocznym świadkiem w czasie wojny rosyjsko-tureckiej; pewien muzułmanin otrzymał ranę, która nie krwawiła, ponieważ wierzył niezachwianie w skuteczność talizmanu, który nosił na sobie.

Gruczoły wydzielnicze pozostają również pod wpływem układu naczynio-ruchowego. Claude-Bernard pierwszy odkrył ten wpływ, drażniąc bezpośrednio nerwy naczynio-ruchowe, wywołując zmiany w wydzielinach śliny. Wiadomo powszechnie, że wzruszenia oddziałują na różne wydzieliny. Strach wywołuje pot zimny; prosta sugestia stosowana przez lekarzy przy pomocy pigulek *mica panis* sprowadza dyaryę.

Histerycy, neurastenicy podlegają potem obfitym, leczonym skutecznie przez poddawanie (Milne, Bramwell, Charpentier). Dzięki nadmiernemu wydzielaniu potu, derwisze bezkarnie przesuwają przez ręce pochodnie płonące, a w dawnych czasach ordalie, czyli Sądy Boże, ulaskawiały oskarżonych, którzy dotykali rozpalonego żelaza, lub nieuszkodzeni przechodzili przez stosy zapalone. Boutigny d'Evreux dowiódł, że cudowne to ochronienie zawdzięczane było zjawisku ogrzewania — sferoidalnej czyli kulistej formie, którą przybierają krople wody w zetknięciu z rozpalonym żelazem, zamiast ulatniać się momentalnie. W ten sposób powstaje warstwa ochraniająca skórę w przeciągu kilku chwil.

Ten sam autor wskazywał, że aby się uchronić od sparzenia, biorąc blachę z rozpalonym do czerwoności żelazem, należy, ani nie brać zbyt prędko, ponieważ uderzenie ręki o metal gorący niszczy stan sferoidalny i wywołuje zetknięcie; ani nie brać zbyt wolno, ponieważ warstwa płynu nie jest zbyt gruba, aby przeszkodzić przez dłuższą chwilę wpływowi gorąca. Te dwa spostrzeżenia tłumaczą nam, w jaki sposób Sądy Boże mogły być stosowane. Groza i lęk, jakiego doznawał winowajca, wytwarzały ruchy gwałtowne, lub paraliżowały je zupełnie; podczas gdy niewinny zachowywał swobodę ruchów, która go ochraniała.

Co prawda, sprawiedliwość tych sądów musiała być bardzo względna. Niewinny, nie podlegający takiemu nadmiernemu wydzielaniu potu — bywał spalonym; zład inąd win-

ny, mający zapewnione względy sędziów, mógł się ochronić odpowiednimi rozcżynami chemicznymi.

Dzięki nadmiernym wydzielinom łzowym, fakirzy indyjscy mogą bezkarnie patrzeć wprost na słońce.

Oddziaływanie naczynio-ruchowe przez poddawanie tłomaczy, w jaki sposób może ono wpływać na poprawę, a nawet zupełne uleczenie niektórych chorób ze zmianami organicznymi.

Często objawy histeryi uważane bywają za choroby organiczne. Najjaskrawszy tego dowód mamy w obrzękach histerycznych, które przyjmowano za głębokie ropnie, przecinano je napróżno, a tymczasem znikły gwałtownie pod wpływem sugestyi, np. podczas pielgrzymki. Tego rodzaju obrzęki mogą występować po ukłuciu; mogą być czerwone i gorące, sprawiać bóle dotkliwe; lecz nie zapalnego pochodzenia — wywołane przez przechodzenie ciałek białych, w skutek rozszerzenia naczyń — zawdzięczają swe powstanie poddawaniu i znikają pod wpływem tego samego czynnika.

Poddawanie może również wpływać lecząco na cierpienia organiczne. W różnych traktatach, w przeglądach specjalnych, spotykamy niezliczone przykłady niezmiernie skutecznego stosowania tego środka leczniczego w chorobach uważanych za nieuleczalne, np. połowiczne porażenie pochodzenia organicznego, zapalenie mleczka pacierzowego, tabes i t. p. W tych razach poddawanie wpływa uspakajająco na podrażnienie nerwowe, które samo przez się pogarsza chorobę organiczną, a nawet ma wpływ niejaki na zmiany materjalne. Wiadomo, że choroba wzmaga się, jeżeli chory bezustannie o niej myśli; objętość nawet guza powiększa się gwałtownie, jeżeli uwaga chorego zwrócona jest w tym kierunku, co wywołuje przekrwienie zależne od rozszerzenia naczyń. Przeciwnie, poddawanie pomyślne, regulując krwioobieg, zmniejszyć może natężenie chorobliwych zjawisk.

Choroby organiczne, zależne od gruczołów krwistych, jak np. śledziona, więcej od wszelkich innych, podlegają wpływowi poddawania.

Znaną jest dobrze gwałtowność z jaką powstaje blednica pod wpływem wrażenia; zwykle zaburzenie nerwowe wystarcza do zasadniczego zmienienia w ciągu kilku godzin składu krwi; choć nie wiadomo dokładnie w jaki sposób to się dzieje, przypuszczać można, że pod wpływem zaburzenia naczynio-ruchowego w śledzionie. Na tem polega sposób leczenia przy pomocy poddawania, obrzmiałej śledziony w uporczywych febrach i malarjach.

Doktor Hikmet widział w Persyi i w Kurdystanie zmniejszanie się wątroby i śledziony po pięciu lub sześciu posiedzeniach następującej ceremonii: krótkim mieczem uderzano prostopadle, nie kalecząc, żołądek pacyenta, odmawiając przytem zdania z Koranu. W Algierze zadawalniam się przykładaniem żelaza na chorą część ciała z lekkim, miarowym uderzaniem noża.

Lepiej jeszcze, suggestya może pośrednio działać przeciwko mikrobom. Doktor Liebeault zdołał przez poddawanie hypnotyczne sprowadzić zmniejszenie, a następnie powolne zniknięcie, zapalenia słuchowego kanału w uchu prawem, rozszerzającego się na tkanki sąsiednie — zapalenia powstałego z obecności perłki szklanej w tym kanale.

Rozumiemy teraz w jaki sposób, w Turcyi osobistości, jakoby święte, zwane Seyid, mogą przy pomocy prostych suggestyjnych obrzędów, powstrzymać zapalenie wynikające z ugryzienia skorpionów.

Kożownikoff przytacza fakt uzdrowienia w ciągu trzech dni, dzięki modłom pewnej kobiety, profesora Dorobietza w Moskwie, dotkniętego pasożytniczym cierpieniem skóry *sycosis parasita*; a jednak znaleziono poprzednio gronkowce w ropie i choroba nie ustępowała pomimo dziewięcio-miesięcznego leczenia.

Po tych kilku przykładach, przyznamy słuszność twierdzeniu profesora Bernheima, że: „Każdy lekarz pragnący leczyć skutecznie, powinien w pewnym stopniu być hypnotyzerem.“ My dodamy jeszcze: „psychologiem.“ Nie należy tylko wpadać w przesadę utrzymując, że poddawanie jest wszystkim, a lekarstwa niczem. Miało to miejsce w XVI wieku z sektą Czerwonego Krzyża: członkowie jej leczyli wszystkie choroby wiarą i wyobraźnią; nie kształcili się zupełnie, Biblia dla nich była wszystkim.

Za naszych czasów sekta „Christian Scientists“ w Anglii postępuje w podobny sposób; odrzuca wszelkie środki lekarskie, wierząc tylko w skuteczność modlitwy *). Dzięki przytoczonym powyżej przez nas danym, mieli szczęśliwe uzdrowienie; lecz naturalnie spowodowali również śmierć niejednego chorego, który leczony w sposób bardziej właściwy, mógł być zdrowym. To też niektórzy *scientists* ukarani zostali w Anglii za nierozumne zabójstwo.

Wszystkie te fakta poddawania, uważane przez większość nawet ludzi wykształconych za oszustwa, powinny być dzisiaj przyjęte jako naukowo stwierdzone, tembardziej jeżeli uprzytomnimy sobie wszystko wyżej powiedziane o działaniu nerwów naczynio-ruchowych.

Dzięki tej nici przewodniej, będziemy mogli zrozumieć znaczną liczbę faktów dotąd tajemniczą zasłoną pokrytych; w nowem oświeceniu przedstawi nam się wzajemny stosunek fizycznej i moralnej strony człowieka; doktryny zaś witalistyczne szkoły Montpellier, spoczywające dotąd w dziedzinie teorii, przeobrażone i odnowione, wkroczą w dziedzinę wiedzy pozytywnej.

Tłóm. Władysława Zarembina.



*) Sekta *Eddystów* w Ameryce leczy również tylko modlitwą. (Przyp. tłum.).

H. G. Wells.

JABŁKO.



— Muszę się tego pozbyć — rzekł człowiek, siedzący w kącie przedziału kolei żelaznej, przerywając nagle milczenie.

P. Hinchcliff podniósł głowę, nie dobrze rozumiejąc, o co idzie. Dotychczas był pogrążony w kontemplacji swego płaszcza studenckiego, który związany rzemieniem leżał u boku walizy, a był to znak zewnętrzny jego świeżo uzyskanej pozycyi pedagogicznej; rozkoszował się w myśli tym płaszczem i przewidywał miłe perspektywy z jego powodu w niedalekim czasie; gdyż pan Hinchcliff świeżo się zapisał do Uniwersytetu londyńskiego i jechał właśnie, by objąć posadę pod-nauczyciela w szkole przygotowawczej w Holmwood: stanowisko godne zazdrości! Ze zdumieniem spojrzął na towarzysza podróży w drugim kącie przedziału.

— Dlaczego mu nie dać? — mówił do siebie tamten. — Dać? dlaczego nie?

Był to człowiek wysokiego wzrostu, o cerze matowej i opalanej. Nerwowo złożył na krzyż ramiona na piersi, a nogi położył na przeciwnej ławeczce. Zaczął kręcić swe czarne, bardzo długie wąsy, oczy utkwivszy na koniec butów.

— Dlaczego nie? — powtórzył raz jeszcze. Pan Hinchcliff zakaszał.

Towarzysz podróży podniósł oczy ciemnoszare, przenikliwe, i przez minutę może przyglądał się posepnie panu Hinchcliffowi.

— Tak — mówił powoli — dlaczego nie? I skończyć.

— Nie rozumiem pana — rzekł p. Hinchcliff, raz jeszcze zakasławszy.

— Nie rozumie mnie pan — mechanicznie powtórzył obcy, a jego dziwne oczy błędziły od Hinchcliffa do walizy, na której zwieszał się ostentacyjnie płaszcz, i znów wracały do twarzy młodzieńca, świeżym wąsikiem omszonej.

— Słowa pańskie są tak niepowiązane, uważa pan... — tłomaczył się pan Hinchcliff.

— Dlaczego nie? — rzekł tamten, idąc za swoją myślą. — Pan jest studentem? — zapytał, zwracając się do Hinchcliffa.

— Jestem studentem Uniwersytetu w Londynie — przez korespondencję — rzekł pan Hinchcliff z nieukrywaną dumą i nerwowym ruchem podnosząc rękę do krawatu.

— W pogoni za wiedzą... — rzekł obcy pan. I naraz spuścił nogi z ławeczki, położył pięść na kolanie i patrzył na Hinchcliffa, jak gdyby nigdy w życiu nie widział jeszcze studenta.

— Dobrze! — powiedział i wyciągnął palec wskazujący.

Potem się podniósł i z siatki wyjął torbę skórzaną, którą otworzył. Nie mówiąc ani słowa, wyjął z niej przedmiot okrągły, obwinięty srebrnym papierem, który zaczął starannie rozwijać. Zbliżył ten przedmiot do pana Hinchcliffa: był to owoc niewielkiej miary, żółto-złoty, nader miły w dotyku.

Pan Hinchliff na chwilę otworzył usta i oczy. Nie próbował wziąć owocu do ręki, choćby mu to nawet i proponowano.

— Jest to — mówił fantastyczny podróżnik, powoli, sylabując, — jest to jabłko z Drzewa Wiedzy... Spójrz pan: małe, cudowne... Wiedzy!... I właśnie chcę je panu dać.

Umysł pana Hinchliffa miał jedno mgienie ciężkiego wysiłku, potem oczywiste wyjaśnienie: waryat! — przeszło mu przez głowę i wytłumaczyło sytuację; waryat wesołego humoru. Pochylił nieco głowę.

— Jabłko z Drzewa Wiedzy, he! — rzekł pan Hinchliff, oglądając owoc i przybrawszy minę żywego zajęcia, a potem patrzył na swego towarzysza. — Ale czemu nie zje go pan sam? A zresztą, jakimi drogami jabłko to dostało się do pana?

— Owoc ten nigdy nie więdnie. Mam go już trzy miesiące i zawsze jest błyszczący, gładki, dojrzały i godny pożądania, jak pan widzi.

Położył rękę na kolanie i marzącym okiem spoglądał na jabłko, potem na nowo zaczął je obwijać w srebrne papiery, jakby zmienił swój zamiar dania go studentowi.

— Ale jakże pan dostał to jabłko? — zapytał pan Hinchliff, który posiadał zmysł argumentacji — i zkaż pan wie, że jest to owoc z Drzewa Wiedzy?

— Kupiłem ten owoc — rzekł starzec — trzy miesiące temu, za czarę wody i kawałek chleba. Człowiek, który mi je ustąpił, — ponieważ moje starania uratowały mu życie — był Ormianinem. Armenia! ta kraina cudowna! pierwsza ze wszystkich krain! kraina, w której Arka Noego została do dziś pogrzebiona w lodowcach Araratu. Człowiek ten, mówię, uciekał wraz z innymi przed bandą Kurdów, którzy ich napadli — i dostał się w puszczyzny górskie, w miejsca, których nikt na świecie nie zna. Uchodząc przed pościgiem, znaleźli się na wysokiej kolebie wśród szczytów górskich. Rosła tam trawa zielona, której listki były, jak ostrza i cięły nielitościwie tych, coby się ośmielili przestąpić ich granicę. Kurdowie byli tuż za nimi — zbiegowie nie mieli teraz innej drogi wybawienia, jak rzucić się w tę trawę — a co najgorsza, że ścieżki wyrobione przez nich za cenę krwi, służyły Kurdom, jako linia pościgu. Wszyscy zbiegowie zostali zabici, wyjąwszy tego Ormianina, oraz drugiego. Słyszał krzyki i jęki swych towarzyszy i szelesty traw, poruszanych przez Kurdów, lecz nie widział nic, bo trawa była tu wzrostu człowieka. Słyszał wołania i błagania, a gdy się w końcu zatrzymał — wszystko dokoła było pogrążone w milczeniu. Szedł dalej przed siebie, nie wiedząc już, co robi, obdarty i pokrwawiony, aż przybył do skalnego muru nad przepaścią, zkaż zobaczył po za sobą trawy płonące pożarem i dymy, które, jak zasłona, stały między nim a wrogami.

Starzec zamilkł na chwilę.

— Tak? — powiedział pan Hinchliff, — a cóż potem?

— Był więc tam, raniony i posiekany przez ostre noże trawy; wśród urwisk rozżarzonych od promieni słońca i dymów pożaru, który szedł ku niemu. Nie miał odwagi tu zostać. Nie szło mu o śmierć, lecz o męczarnie...

W dali po przez dym słyszał wołanie i skargi. Kobiety jakieś krzyczały. Zaczął więc iść w górę po skałach, gdzie rosły krzaki o suchych gałęziach, które jak ciernie wysuwały się z pomiędzy liści; tam ukrył się w rodzaju pieczary. Znalazł tam swego towarzysza, pasterza, który uniknął rzezi. Uważając chłód, głód i pragnienie za rzecz drobną wobec okrucieństwa Kurdów, dalej się wdzierali na wyżyny wśród lodów a śniegów. Błądzili trzy dni. Na trzeci dzień mieli widzenie. Przypuszczam, że ludzie wygłodniałi często miewają widzenia, ale tym razem zyskali ten owoc.

Podniósł trzymane w rękę jabłko w srebrnym papierze.

— Słyszałem tę opowieść z ust innych górali, którzy znali legendę. Było to wieczorem, w godzinie, gdy liczba gwiazd się powiększa. Zchodzili po pochyłości gładkich skał, prowadzących do ogromnej posępnej doliny, w której rosły dziwnie pogięte drzewa, a z drzew zwisały małe kule, błyszczące, jak robaczki świętojańskie, dziwne światła, okrągłe i żółte. Nagle dolina zapromieniała w dali, w wielkiej dali: złoty, ogromny płomień powoli zbliżał się ku nim, skutkiem czego karłowate drzewa zdawały się teraz czarne, jak noc, rzucając na pochyłości i kontury przedmiotów — złote refleksy od owoców. Na to widzenie obaj ludzie, znając legendy górskie, pojęli, że widzą Eden, lub też chatownię Edeu — i padli twarzą na ziemię, jak ludzie ugodzeni śmiercią. Gdy ośmielili się podnieść oczy, dolina była znów w ciemności, a potem światło znów się ukazało i szło ku nim przezroczyste, jak bursztyn... Pasterz na ten widok skoczył na równe nogi i z wielkim krzykiem poczał pędzić, co siły, ku temu światłu drugi był zbyt przerażony, by iść za nim. Stał opętany, osłupiały, przerażony — i patrzył na towarzysza, który biegł ku ruchomemu światłu. Zaledwie pasterz biedz zaczął, gdy słyszeć się dał jakby huk piorunu, uderzenia skrzydeł niewidzialnych nad doliną i niewymowne przerażenie; opowiadając mi tę historię, biedny człowiek, który mi dał owoc, jeszcze bojaźliwie spoglądał dokoła siebie, jakby chcąc się uratować. Zchodząc po pochyłości z najwyższym pospiechem, wśród wrzawy huczącej po za nim — uderzył o jedno z karłowatych drzew — i dojrzały owoc spadł mu do ręki: ten! Natychmiast go otoczył szelest skrzydeł i odgłos piorunów. Padł i zemdlał, a gdy wrócił do zmysłów, znajdował się pośród ruin dymnych i poczerniałych swego siola, gdzie w towarzystwie kilku innych osób opatrywałem rannych. Widzenie? Ależ jeszcze miał w rękę złoty owoc z drzewa. Byli tam i inni ludzie, którzy znali legendę, i wiedzieli, czym jest ten dziwny owoc.

Zamilkł.

— Oto ten owoc! — rzekł po chwili milczenia.

Była to historia zbyt osobliwa, by ją opowiadać w przedziale trzeciej klasy na małej linii drogi żelaznej w Surrey. Można by powiedzieć, że tu rzeczywistość była tylko osłoną dla fantasmagoryi; a tu fantastyczność była dość widoczna.

— Na prawdę? — było to wszystko, co mógł powiedzieć pan Hinchliff.

— Legenda — zaczął znów podróżnik — opo-

wiada, że te kępy drzew karłowatych, rosnących dokoła Ogrodu, pochodzą od jabłka, które Adam trzymał w rękę, gdy wraz z Ewą został wygnany z Raju. Czuł coś w rękę, ujrzał jabłko na pół zjedzone i rozgniewany rzucił je daleko. Tam od owej chwili rosną te drzewa w tej dolinie rozpacznej, otoczonej śniegiem wiecznym, u której wejścia miedze ogniste stoją na straży aż do dnia Sądu Ostatecznego.

— Myślałem — rzekł p. Hinchliff, — że te historie to poprostu bajki, parabole raczej. Pan mówi, że tam w Armenii...

Towarzysz odpowiedział na niedokończone pytanie, podnosząc owoc na rozwartą dłoń.

— Ale pan niema żadnej pewności — rzekł pan Hinchliff, — że to jest Owoc z Drzewa Wiedzy... Człowiek mógł mieć... rodzaj mirażu, dajmy na to, złudzenia, przypuśćmy...

— Obejrzyj pan!

(Dokończenie nastąpi).

W JAKI SPOSÓB żyć można w Paryżu ZA OŚM SOUS DZIENNIE.

Żyje się źle — rzecz prosta — i komfort pozostawia wiele do życzenia — lecz żyje się!

Jak wielkiego sprytu dają dowody ci, którzy potrafią: mieszkać, żywić się, ubierać, a nawet i używać pewnych przyjemności, przy tym budzącie śmiesznie małym — i to w jednym z miast, w którym utrzymanie kosztuje najdrożej! Oprowdzając czytelników naszych po miejscach uczęszczanych przez tych, którzy żyją „po najniższych cenach“, zapoznamy ich z niektórymi tajemnicami stolicy, prawie nieznanymi, a jednak budzącymi ciekawość w wysokim stopniu.

Paryż jest ojczyzną wszelkich ostateczności; jest to miasto, w którym utrzymanie kosztuje najdrożej — a zarazem w którym żyć można za czterdzieści centymów dziennie.

Podobnie, jak niektóre miasta południowe mają swoich „lazzaronów“, zwolenników „farniente“, tak też i Paryż ma swoich włóczęgów, którzy pragną brać udział w jego ożywieniu, bez poddawania się trudom pracy i odpowiedzialności zajęcia stałego. To też obok nędzy przypadkowej, która rodzinę wyrzuca na bruk uliczny, spotyka się nędzę dobrowolną ludzi leniwych, którzy wolą potrzeby swe zcieścić do ostatecznych granic, byle nie kępować swobody swojej żadną pracą przymusową.

Zajmują się oni drobnym handlem ulicznym, pracą chwilową przy porządkach miejskich, roznoszeniem węgla i drzewa i t. d., lecz przerywają codzienne swe zajęcia i z chwilą, gdy zarobią dosyć na opłacenie skromnych potrzeb, wtedy puszczają wodze swemu zamiłowaniu do próżniactwa i włóczęgi. Oni to tworzą gromadki gapiów, skupiających się na rogach ulic, na widok upadłego konia, lub na odgłos jakiegś sprzeczki. Niepoprawni „gawrosze“, którzy się postarzelili po za murami mieszkań i warsztatów: kochają ulicę i słońce!

W zimie trzymają się ulicy, w lecie zapelniają ławki na skwerach. Obdarzeni najbardziej sielskim usposobieniem, kierują przechadzki swe aż nad brzeg Sekwany i tam

rozkładają się na piasku, przez słońce ogrzanym.

Używanie snu pod gołym niebem przedstawia niebezpieczeństwo, nawet i w lecie, nie tylko zaziębienia się, lecz i... pojmania. Od czasu do czasu bowiem, w lecie, stróże bezpieczeństwa zjawiają się w lasku Vincennes lub w Boulogne i czynią obławę, chwytając za każdym razem trzydziestu lub czterdziestu osobników, których następnie stawiają przed sądem za włóczęgostwo. Nie wszyscy jednak okazują się winnymi przestępstw ważniejszych. Niedawno np. stróże bezpieczeństwa znaleźli w Champs-Élysées szwaczkę uczciwą, śpiącą w altanie. Nie mając roboty, uważała ona za zbyt wysokie wydawanie pieniędzy na komorne. Miała przy sobie 300 franków oszczędności. Odkąd jej zbrakło roboty, przyjęła system życia wędrownego, wyprowadziła się z pokoiów umeblowanych, gdzie dotąd zamieszkiwała, kosz z rzeczami oddała na przechowanie na stacji kolejowej, rano umywała się chustką, umoczoną w wodzie Sekwany, a poobiedzia spędzała na poszukiwaniu roboty, której jednak nie mogła znaleźć.

Jakże postępuje filozof, który zarabia tyle tylko, ile potrzebuje na zaspokojenie najkonieczniejszych wydatków, a obawia się więzienia, do którego prowadzi zbyt wielkie zamiłowanie w swobodzie na świeżym powietrzu? Życie takiego osobnika, który wylamuje się z pod praw pracy normalnej — dzieli się na dwa okresy.

W pierwszym okresie mieszka darmo, a o płacę żywność swoją, w drugim płaci za nocleg, a każe się żywić bezpłatnie.

Dwadzieścia dni mieszkania bezpłatnego.

Pierwszy posiłek poranny.

Przytulki dla mężczyzn, zostające pod zarządem miejskim, mieszczą się w dwóch domach: przytułek Benoit-Malou położony przy ulicy Valmy, 107, posiada 207 łóżek. Przytułek Nicolas-Flamet przy ulicy Château-des-Rentiers, 67 i 69, ma również 207 łóżek. Bardziej rozległa instytucja przytułków noclegowych dla bezdomnych, otwiera dla nich swe podwoje w czterech domach: na ulicy Tocqueville 59, Boulevard de Vaugirard 14, rue de Laghouat 13 i Boulevard de Charonne 122.

Wszystkie te domy udzielają tułaczowi co dwa miesiące trzy noclegi, lub cztery, jeśli wypadnie niedziela lub święto, podczas jego tam pobytu.

Zatem taki bezdomny filozof dostaje łóżko bezpłatnie przez ciąg dwudziestu dni, jeśli się udaje z jednego przytułku do drugiego. Taka szczęśliwa okoliczność powtarza się co dni 60; zatem przez okres dwumiesięczny, musi opłacać swe noclegi przeciętnie tylko czterdzieści razy.

Od dnia 1-go Października do 31-go Marca otwierają przytulki o godzinie 6-ej wieczorem, przez resztę roku o 7-ej. Pora układania się do snu, stosuje się również do pory roku: o godzinie 8½ lub 9-ej. Dzwonek budzi o 6-ej rano od 1-go Października do 1-go Marca, a o 5-ej rano w innych miesiącach.

Po wstaniu dostają w przytułku zupełną, przyrządzoną z chleba i smalcu. Jest to pokarm mało sytny, uśmierza on głód zaledwie na kilka godzin; około jedenastej człowiek uczuwa znów apetyt. Po spełnieniu jakiej pracy drobnej, lub zajęciu się sprzedażą uliczną, co mu przyniesie kilka sous, udaje się do halli.

Od słodczy Arlekinu (l'Arlequin), do rozkoszy Pogrzebu (Enterrement).

Pomiędzy pawilonem z jarzynami a pawilonem z nabiałem, wznosi się pod namiotem pierwotny bufet, na prostych kozłach drewnianych. Nagromadzona jest tam mieszanina wszelkich potraw, pozostałych w kuchniach restauracyjnych. Są to t. zw. „Arle-

kiny.“ Na talerzach, z których każdy zawiera „arlekina“, znajdują się rozmaite mięsa, obłożone tłuszczem, a tuż obok ryba. Całe to „menu“ mieści się na jednym talerzu fajansowym. To wszystko kosztuje 10 lub 15 centymów. Główny „moment“ dla przekupnia „arlekinów“ stanowi godzina jedenasta. Mężczyźni, z włosami kołtuniastymi, w kapeluszach filcowych, które dawno już straciły swoją formę, oczekują wśród kręcących się wozów, by się jakie miejsce opróżniło: mają bowiem prawo do stołka. Biedacy sadowią się tam, jak bogaci w barach: nogi zakładają na poręczach stołków, a łokcie opierają o bufet. Za chleb płacą 10 centymów, a wodotrysk „Wallace“ dostarcza im napoju, którym posilek podlewają.

„Arlekin“ bywa obfity: nasz człowiek nie jest w stanie zjeść go za jednym posiedzeniem; część zatem chowa do pudełka od konserw, typu nazwanego „Czterolitrowe“, nosi je zawsze przy sobie — zastępuje mu ono spiżarnię.

Arlekin jest potrawą zimną, w dni dżdżyste mniej przyjemny do spożywania. W dni też takie miło jest zastąpić go „Pogrzebem“ (Enterrement). Przechodząc dzielnicami zamieszkiwanymi przez ludność ubogą, czujemy nieraz silną woń topionego tłuszczu. W rogu sklepu winiarskiego kobiecina poczuwa, której policzki wiatr mocniejszym jesiennym szkarłatem rozczzerwienił, miesza pospiesznie: smalec wieprzowy, kielbaski wędzone, słoninę i flaki. Jest to przekupka „pogrzebów“. Ponieważ potrawy te mieszczą się pomiędzy dwoma długimi kawałkami chleba, i całość przypomina nieco kształtem ciało w trumnie złożone, zatem biedacy wpadli na pomysł tej ponurej nazwy.

Za trzy sous otrzymuje się „pogrzeb“: chleb 1 sous, kielbaski, smalec lub flaki dwa sous.

Kto głodny, może jeszcze pójść około godziny 4-ej zjeść darmo zupę, rozdawaną biednym w różnych dzielnicach Paryża.

U bram przedmieść sprzedają również w zimie za 3 sous półmisek ogromny ślimaków (moules) gorących, które stanowią prawdziwą ucztę. Zatem: „arlekin“ za 4 sous, po południu coś extra za 2 sous, pozostaje się więc jeszcze 2 sous na tytuł. Na placu Maubert „zbieracze niedopałków“ sprzedają resztki papierosów i cygar. Te resztki podnoszone bywają z pod nóg przechodniów, ale nasze biedaczysko zapatruje się na mikroby z pogardą, a zresztą wypali to wszystko w gościnnym kominie fajki dobrej glinianej.

W razie, gdyby chciał sprawić sobie ubranie — będzie zmuszony oszczędzać po całych tygodniach owe 10 centymów, wydawanych na tytuł. Wtedy może kupić za 15 sous kurtkę, za 10 sous spodnie, za 5—3 trzewiki. Wszystko to znajdzie łatwo na targach starzyzny, które się mieszczą po za murami Paryża, w Saint-Ouen, w Pantin, w Aubervilliers etc., i które noszą nazwę „targów z pchłami“ (marchés aux puces).

Lecz zarząd instytucji przytułków noclegowych często obdarza biedaków ubraniami. W roku zeszłym dary te dosięgły 11,635 sztuk, w czem: 793 paltotów lub kurtek, 924 par spodni, 1,233 koszul, 4,853 par obuwia i 3,832 przedmiotów rozmaitych.

Malowniczość zastępuje wygodę.

W drugim okresie swego istnienia, to jest przez dni czterdzieści co dwa miesiące, nasz obywatel miłujący swobodę, dla którego wedle ustaw drzwi przytułku są zamknięte, musi szukać schroniska na swój koszt.

Gdzież noc spędzi? Gdzie znajdzie mieszkanie odpowiednie do swoich funduszy?

Na początku ulicy Saint-Denis blisko Hall, wznosi się hotel „Fin de Siècle.“ Trzy piętra i duże piwnice stanowią schronienie, gdzie

za 4 sous ma się prawo do snu, do zupy lub wina. Jest to dom Tradin'a, znany dobrze nocnym spacerowiczom, którym przyszła fantazyja zapoznać się z zaułkami Paryża. Jest to hotel, w którym niema ani łóżek, ani materaców, ani sienników — są tylko stoły długie i ławki, jak w refektarzu. Hotel otwiera swe podwoje o godzinie 9-ej wieczorem. Właściciel hotelu — mężczyzna silny, sam stróżuje w zakładzie i nie dopuszcza do żadnych nieporządków. Suną się między ławkami, jedzą lub piją, a następnie zasypiają, wsparci o stół lub o ramię sąsiada. Około godziny 11-ej, gdy wszyscy już drzemają, widok sal wywołuje obrazy fantastyczne i ponure.

O wiele lepszy nocleg można mieć za 4 sous na ulicy Chabrol w domu zajezdnym „Armii Zbawienia.“ Przedewszystkiem nikt tu nie jest skrępowany rygorem, podczas gdy domy noclegowe dobroczynne zostają pod zarządem dymisyonowanych kapitanów, których się tytułuje: „komendancie.“ Powtórę, w domach tych, równie jak w przytułkach miejskich, regulamin nakazuje wzięcie natrysku natychmiast po zgłoszeniu się do przytułku, i przebranie się w odzież miejscową, podczas gdy własna podlega dezynfekcyi w łaźni; a włóczęga ma wstręt jednakowy: do rygoru, do kąpieli i do natrysku! Zajazd „Armii Zbawienia“ jest oberżą prawdziwą, w której się każdy czuje niezależnym klientem.

Natrysk bywa tam nieobowiązujący, to znaczy, że nikt nie myśli go używać! Każdy ma prawo do łóżka — co prawda, pozbawionego prześcieradła; spią na materacach ceratowych i okrywają się kołdrami, lecz jest ciepło i członki odpoczywają.

Dodając dwa sous więcej, można mieć nocleg jeszcze lepszy w „Armii Zbawienia.“ Mieszkania urządzone są tam w wielkich szopach, które były niegdyś zajęte przez handlującego żelaztwem. Składają się z trzech części, nazwanych w języku malowniczym zwykłych bywalców, jak następuje: „Izba“, „Senat“ i „Elyseum“ (la Chambre, le Sénat et l'Elysée). Pierwsza, najmniejsza, mieści łóżka po 20 centymów, druga po 30 centymów, trzecia — przepych! składa się z całego szeregu pokoiów, utworzonych przez pierpień bez sufitu i przypomina komórki w plastrze miodu. Tu się płaci za noc 75 centymów. Pokoiki te bywają zajęte przez arystokratyczną nędzę; przez ludzi, którzy zarabiają miesięcznie 80, a nawet 100 franków, którzy mają bieliznę i kuferek! Nasz filozof posiadający ośm sous dziennie, zadawała się pościółką ceratową.

U drzwi restauracji. — Trzy tysiące kobiet bez schronienia.

Nasz biedak posiada już tylko cztery sous na zaspokojenie potrzeb swego żołądka. Przez czterdzieści dni, podczas których musi pędzić życie podobne — będzie się znajdował — jak mówią ekonomiści, w okresie „krów chudych“ (*vaches maigres*). Zatem zaraz po przebudzeniu się, o godzinie 6-ej rano podaży z pospiechem na ulicę, ku zakładom restauracyjnym. Przed drzwiami uchylonymi drepce cały sznur nędzarzy. Po chwili chłopcy wybladli od chłodu porannego, zjawiają się na progu, niosąc wielkie, szafirowo emaliowane półmiski i rozdają ich zawartość wyczekującym, łachmanami okrytym biedakom. Są tam szczątki ze stołów, resztki potraw, które wybrano dla nich z pośród resztek nadających się jeszcze do sprzedaży.

Szybko pakują swoje porce do pudełek od konserw, przewieszonych przez plecy i spieszą do innego domu. Po ulicy polewanej przez nadzorców, biegną niezdarnie starzy i młodzi — nogi ich, skrępowane obuwem zbyt obszernem lub zbyt ciasnem, straciły już wszelką swobodę ruchu, konieczną do szybkiego chodu.

Pomimo jednak swej przedsiębiorczości, człowiek nasz mógłby bezradnie pozostać głodnym, gdyby nie to, że filantropia jest w Paryżu zorganizowana na bardzo rozległą skalę. Stowarzyszenia, jak: „La Bouchée de pain,” „Les Soupes populaires,” „Le Pain pour tous,” rozdają w zimie codziennie: zupę, chleb i kawę, albo na ulicach pod namiotami zrobionymi z dragów i płótna nieprzemakalnego, albo też w jadalniach *ad hoc* urządzonych.

Stowarzyszenie „Du Pain pour tous” rozdaje rocznie między żyjących z dnia na dzień: przeszło 500,000 kilogramów chleba i 600,000 litrów kawy. Mięso rozdaje jedyna tylko „Soupe Populaire,” mieszcząca się przy ulicy Pelle-porte.

Nasi biedacy usiłują też być o godzinie 5 i pół rano w pobliżu koszar. Tam otrzymują resztki potraw, pozostałych na dnie naczyni żołnierskich. Nędzna to zresztą strawa, gdyż żołnierze sami wypróżniają dobrze naczynia, które im na stół podają.

Dotąd mówiliśmy jedynie o mężczyznach. Znajdują się jednakże i kobiety pomiędzy istotami, których życie upływa w niepewności niewiadomego jutra. Lecz liczba ich jest o wiele mniejsza, aniżeli mężczyzn. Kobieta przez wychowanie swoje, bardziej rodzinne—pozostaje istotą domową. To też porównując cyfrę w dwu tylko przytułkach dla obu płci—przekonywamy się o poważnej różnicy. Mężczyzu zgłasza się przecięciowo rocznie 23,000, a kobiet zaledwie 3,500. Magistrat paryżski, który wybudował dwa przytułki dla mężczyzn, dla kobiet wybudował jeden tylko przy ulicy George-Sand. Mieści się w nim 96 łóżek i 20 kółsek dla dzieci, które te nieszczęsne kobiety wloką za sobą.

Towarzystwo przytułków noclegowych zachowało dla kobiet po jednym pawilonie w każdym budynku. „Armia Zbawienia” urządziła dla nich gospodę przy ulicy Fontaine-au-Roi. Wieczorem, przed udaniem się do sali sypialnej lub do oddzielnych pokojów—pracują przy lampie nad szyciem.

Widzimy z tego, że jeżeli się źle żyje za 8 sous dziennie, to jednak żyć można. Jest to dowodem, jaką pomoc zadziwiającą udziela Paryż tym, którzy znają jego zaułki i wiedzą, co w nich znaleźć można przy odrobinie sprytu.

M. K.



Z listów do „Bluszczu.”



Lwów w Kwietniu.

Kronikarskie zdarzenia, jako dokumenta ludzkie. — Nowy dworzec lwowski i jego kulturalno-narodowe znaczenie. — Jarmark wyrobów krajowych z inicjatywy pań. — Konkurs na pieśń do słów Mickiewicza. — Chińszczyzna w polskim Towarzystwie filozoficznym.

W wielkich miastach, czyli środowiskach życia społecznego, gdzie tętno życia tego pulsuje silnie, a całe ciało społeczne aż do ostatnich włókien nerwowych przyjmuje bezustannie soki odżywcze, wszelkie kronikę dziennikarską objęte wypadki stają się dokumentami ludzkimi, które, w należytem zestawieniu i objaśnieniu mogą oddać ważne usługi każdej pracy około postępu i rozwoju urządzeń społecznych, a nadto rzucić światło na aktualny stan życia narodowego. Spróbujmy z tego stanowiska rozpatrzyć jeden z najważniejszych wypadków lwowskich w ostatnim czasie, t. j. otwarcie nowego dworca kolejowego, a przekonamy się, że ma on dodatnie znaczenie o wiele większe, niżby to ze zwykłych wzmianek dziennikarskich i opisów uroczystości inauguracyjnych wnosić można. Nie

tylko bowiem Lwów wzbogacił się o monumentalny gmach i wszedł w posiadanie dworca, któremu tak co do piękności, jak co do wygody nie dorównywa może żaden z dworców europejskich—rzecz dla kulturalnego rozwoju miasta bądź co bądź ważna—nie tylko Lwów tym samym faktem, pozbył się straszliwej rudery, pamiątki po gospodarce kolei Karola Ludwika, i szpecących miasto ruszto- wań, oparkanień i prowizorycznych okropności, jakimi zadowalać się musiał przez trzy lata, — nie tylko mieszkańcy Lwowa gościli u siebie Ekscelencyę ministra Witteka i uczestniczyli—naturalnie, o ile budżet pozwolił im na kupienie drogich biletów — w rauce, który zgromadził całą śmietankę lwowskiego mieszczaństwa i arystokracji, (istota rautu, pozwalająca na tworzenie się zupełnie oddzielnych grup, pozwalających na takie mieszanie się klas społecznych), nie tylko wszystkie sfery ludności, począwszy od restauratorów, ogrodników, krawczyń i t. p., aż do pań z towarzystwa i do najpoważniejszych reprezentantów biurokracji, miały nieprzebrany temat do rozmów i rozmyślań, nie tylko narzecze — *last but not least* — posypał się na uszczęśliwionych szefów, urzędników, artystów i przedsiębiorców obfity grad odznaczeń, awansów i tytułów, ale nadto ta budowa dworca lwowskiego stanowi istotnie, albo co najmniej stanowić może, ważny punkt zwrotny w postępie sztuki polskiej i w podniesieniu krajowego przemysłu techniczno-artystycznego.

Przyjrząwszy się dokładnie tej budowie, doznajemy miłego uczucia swojskości, które wzrasta jeszcze pod wpływem świadomości, że przemysł krajowy miał wielki udział w budowie. Przednia występująca na środku gmachu fasada, która zdobi odległą perspektywę ulicy dojazdowej, przedstawia połączenie stylu renesansowego z nowoczesną secesją; rysunek secesyjny utrzymany w granicach tak potrzebnej dla stylu tego dyskrety, zdobi bramę wejściową z kutego żelaza, patynowaną na zielono, a pochodzącą z krakowskiej fabryki Goreckiego. Umieszczone po obu stronach głównego portalu figury alegoryczne: „Przemysł” i „Handel” wykonane są przez artystę Popiela. Wewnątrz gmachu uwagę widza zwraca polichromiczna ornamentacja ścian i sufitów. W I i II klasie wszystko od boazerii aż do zwierciadeł, pająków i mebli, wykazuje umiarkowany styl secesyjny z tą odmianą tylko, że w pierwszej przeważa kolor czerwony i złocenia, w drugiej matowy orzech i meble zielone. Bardziej zajmującą jest dla nas ornamentacja klasy 3-ej i przylegającej do niej restauracji; widzimy tu bowiem po raz pierwszy zastosowanie sztuki polskiej, a mianowicie stylu zakopiańskiego do budowy monumentalnej. Gipsatura na ścianach i sufitach, zdobnictwo boazerii i mebli, żyrandole i kinkiety, wszystko tu oparte jest na motywach swojskich, a przedstawia się tak powabnie i gustownie, odznacza się nawet taką świeżością wobec banalnych już dla oka stylów modnych, że tem samem najskuteczniej odparte są wszelkie poprzednie podnoszone powątpiewania, co do możliwości zastosowania polskiego stylu w architekturze i zdobnictwie na większą skalę. Że ten pocieszający objaw jest wynikiem kilkuletniej gorliwej agitacji na korzyść sztuki polskiej i podjętej przez kompetentnych artystów i uczonych, to nie ulega wątpliwości. Jeżeli zaś ten początek—jak przypuścić należy—będzie zachętą do dalszej pracy w tym kierunku, wówczas może ustąpi i druga wątpliwość, czy motywa polskie nadają się w dalszym rozwoju sztuki do wzbogacenia, uszlachetnienia i artystycznego skomplikowania stylu polskiego.

Nie tylko jednak pod względem artystycznym, lecz i techniczno-przemysłowym, nowy dworzec jest ważnym dla kraju zdarzeniem.

Już sam fakt, że budowa tak wielka i wspólna mogła być wykonana przeważnie siłami krajowemi, jest jako precedens bardzo ważnym, ale budowa ta dała nawet pohop do rozwoju niektórych zupełnie nowych gałęzi przemysłu. I tak: w fabryce Lewińskiego we Lwowie, zaczęto dla wyłożenia kurytarzy i tuneli dworca, wyrabiać nowego rodzaju płytki z polewanej terrakoty, które już bardzo dobrze przeszły próbę—nie ognio- wą, ale zimową, gdyż nie odniosły żadnego uszkodzenia, skutkiem mrozów. Do sklepień, czyli stropów licznych tuneli, zaczęto pierwszy raz na większą skalę używać konstrukcyi żelazobetonowej systemu „Heunbique.” Chcąc ten krótki szkic uzupełnić, nie mogę pominąć olbrzymiej konstrukcyi żelaznej, pokrywającej cztery tory kolejowe. Długość jej wynosi przeszło 150 m., a szerokość 30 m. Pomimo tych olbrzymich rozmiarów cała konstrukcyja z fabryki Zieleniewskiego w Krakowie i zakładów w Witkowicach, robi wrażenie elegancji i lekkości. Zdaniem fachowców nowy dworzec odpowiada wszelkim wymaganiom postępu i cywilizacji, a jeżeli wielka w tem jest zasługa firm krajowych, to z drugiej strony podnieść należy, że harmonia i rezultat ogólny jest przedewszystkiem dziełem dyrektora kolei, p. radcy Wierzbickiego, od którego decyzji zależały najdrobniejsze szczegóły i który też tak ważną rolę w przedsiębiorstwie wyznaczył krajowemu siłom produkcyjnym.

Jako korzystny objaw życia narodowego i ruchu ku podniesieniu go, przytoczyć mogę uchwałę urzędnika (w czasie od 15 Czerwca do 15 Lipca r. b.) Jarmarku wyrobów krajowych na placu po-wystawowym. Inicjatywa do tego przedsięwzięcia jest dziełem pań naszych, a podjęta została jeszcze na wiecu przemysłowym kobiet, który odbył się w jesieni r. z. Wybrany wówczas komitet (a obecnie znacznie rozszerzony), który miał zająć się urzeczywistnieniem podanej przez p. Warchałowską propozycyi, wystosował obecnie odezwę do społeczeństwa. Zaznaczywszy, że przemysł nasz walczy dziś jeszcze z nadzwyczajnymi trudnościami, podnosi potrzebę urządzania wystaw przeglądowych wyrobów krajowych, które byłyby dla publiczności skuteczną reklamą. W jarmarku tym winni wziąć udział nietylko kupcy, ale także przemysłowcy, bo wówczas jarmark będzie jakoby egzaminem praktycznym, oraz obrazem całokształtu naszego przemysłu. Przyczyniając się do powiększenia zbytu wyrobów swojskich, jarmark taki wpłynie niezawodnie na podniesienie poziomu naszych rzemieślników i ogólnej wytwórczości. Ma nadto jarmark taki jeszcze inne zadanie kulturalne, nie mniej ważne: oto kształcenie spożywców. Wiemy, że popyt jest głównie kierującym motywem dla fabrykacji i handlu. Fabrykuje i sprzedaje się to, co—„idzie,” czyli czego publiczność pragnie. Pokierować temi pragnieniami, zwrócić je na tory dobrego smaku, a odwrócić od bezmyślnego zbytku i bezmyślnej sztuki, od snobizmu i małpiego naśladownictwa, obudzić zamilowanie do rzeczy swojskich, wystawiając je w najlepszym świetle—a raczej wystawiając je w ogóle, co dotychczas większości jest nieznanem, to wszystko może być również zadaniem takiego umiejętnie urządzonego jarmarku. Jeżeli jarmark w istocie zadaniom tym—zaiste nie łatwym, odpowie, będzie mógł liczyć na ogromne powodzenie; jeżeli zaś będzie w treści swej tak jałowym, jak wszystkie dotychczasowe, choć na mniejszą skalę podjęte przedsięwzięcia, jak bazyry gwiazdkowe, kiermasze i t. d., wówczas nie pomogą nawet atrakcyje takie, jak imitowanie wiedeńskiego Würstelprateru,—które co najwyżej zciągać będzie publiczność, nie mającą z rozwojem przemysłu najmniejszej styczności, nie pomoże nawet protektorat Pani Namiestnikowej. W prze-

ciwnym zaś razie, jeżeli jarmark, jako taki, będzie bogato i oryginalnie obelany, protektorat ten może w istocie znacznie przyczynić się do powiększenia zbytu towarów, zciągając kupujących ze sfer arystokratycznych.

Ponieważ list dzisiejszy poświęcony już jest samym korzystnym i dodatnim objawom lwowskiego życia, przeto wspomnę jeszcze, o projektowanym przez tutejsze Towarzystwo Muzyczne koncercie, na rzecz kolumny Mickiewicza we Lwowie. Jako jeden z punktów programu, przyjęto „konkurs na pieśń, do słów dowolnie wybranych Mickiewicza.“ Pieśni nadesłane na ten konkurs, ocenione poprzednio przez grono znawców, zostaną wykonane na koncercie i poddane ocenie całego audytorium. Będzie to więc rodzaj plebiscytu. Pieśń ta ma być popularną w szlachetniejszym znaczeniu, tak, iżby nadawała się do szerszego rozpowszechnienia, ma być skomponowana na jeden głos z towarzyszeniem fortepianu. Koncertowi temu życzyć należy powodzenia ze względu na piękny cel, a także i w interesie Towarzystwa Muzycznego, które potrzebuje niejako rehabilitacji w oczach naszej publiczności. Instytucja ta bowiem zachowuje się prawie biernie w roku bieżącym, pozostawiając zupełnie zadanie uprawiania szlachetnej muzyki problematycznym siłom Filharmonii, nadto, raz jedyny, kiedy Tow. wystąpiło z poważnym koncertem nie zaznaczyło się, jako tryumf dla Towarzystwa. Prawdziwie muzykalna część publiczności ze szczerem zajęciem pospieszyła na wystawienie wspaniałego dzieła Bacha „Matheus Passion“ i co do ansamblu chórów i orkiestry, jakoteż solistów męskich nie doznała rozczerowania. Zwłaszcza zachwycił wszystkich dr. Konrad Zawilowski w partyi „Chrystusa.“ Młody ten śpiewak był przez cały sezon zimowy ulubieńcem publiczności, uczęszczającej na opery—a nadto w życiu towarzyskiem ulubieńcem dam. Nader fatalnie wypadły natomiast solowe partye kobiece i ogólne zdziwienie wywołał fakt, że Towarzystwo nie potrafiło postarać się w mieście tak muzykalnem, jak Lwów i posiadającym nadto kilka dobrych sił operowych, o trzy solistki. Ten brak był także powodem, że piękne to dzieło, ze szkodą miłośników muzyki klasycznej, nie mogło być powtórzonem.

I w dziedzinie naukowej mamy do zaznaczenia przybytek, który może w przyszłości nabrać poważnego znaczenia. Jest to powstanie Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, założonego w stuletnią rocznicę Kanta. Na pierwszym z posiedzeń naukowych dr. Władysław Witwicki odczytał ustępy z Platńskiego „Symposionu“ we własnym przekładzie. Zamiarem autora było wykazać, w jaki sposób postępować należy przy przekładach pisarzy starożytnych, ażeby obok wierności oddanych myśli, zachowały one także całą swą żywość i oryginalność. Towarzystwo liczy już przeszło 50 członków, dotychczas jednak do zwykłych śmiertelników, nie będących ani funkcyjnaruszami uniwersytetu, ani nie mającymi z tymi ostatnimi bliższej styczności, wieści o tem Towarzystwie przedostają się tylko z trzeciej ręki. Na mocy dziwnego istotnie postanowienia nie mogą zapisywać się na członków ludzie, interesujący się nauką, lecz tylko ci, którzy od Wydziału otrzymają osobne ku temu zaproszenie, o tem ostatniem zaś decyduje tylko osobista znajomość lub przychyłność członków wydziału. Jaki cel może mieć takie ograniczenie trudno odgadnąć; Towarzystwo bowiem, które zajmuje się poważnymi studiami filozoficznymi nie może wszakże obawiać się przepełnienia. Dążeniem epoki obecnej jest jak najobszerniejsze uprzywilejowanie wszystkich dziedzin nauki, a pierwsze początki temu dążeniu dała właśnie filozofia, gdyż najznakomitsi jej przedstawiciele jeszcze w starożytnej Grecji wykładali mądrość swą wszy-

stkim, którzy tylko poznać ją zapragnęli. W każdym razie Towarzystwo Filozoficzne wówczas dopiero uzyska ważne dla nauki znaczenie, gdy przestanie kierować się chłyszczyną i być zamkniętem „kółeczkiem.“

D-r F. N.



Na półkach księgarskich.



— Teresa Prażmowska: „Romans gąski.“ Warszawa, 1904. Nakład i druk Synów St. Niemiry, str. 327.

Naiwność stała się dzisiaj synonimem—głupoty.

Tak niezdolni jesteśmy uwierzyć, iżby dusza czyjaś przeszedłszy przez życie, nie zdołała się zbrukać, wypaczyć, skałać choćby myślowo, w zetknięciu ze złem i nędzą, i zdołała zachować swą dziewiczość i nieświadomość, iż w istnienie takiej duszy anielskiej—powątpiewamy. I oto autorka pokazuje nam taki typ dziewczęcia „z dobrego domu“, które uchowało się wśród czterech ścian bogobojne, czyste, nieskalane, odgródzone przez wychowanie od nędzy i szkarady życia, nieświadome zła istniejącego. Taką duszę z kryształu, nawpół dziecięcą, jak kwiat świeżo rozwity w słońcu, otwartą na roście podseptom dobrych czynów, nieświadomionej, lecz przeżywanej miłości: i, pohopną do egzaltacji i poświęcenia, posiada Jagienka. Śliczny, cudny typ kobiety-kwiatu, któremu potrzeba dużo ciepła i światła ożywczego w życiu! Nie jest to pracownica, zahartowana w walce o byt, współzawodniczka mężczyzny, głowa najeżona hasłami emancypacji, — to wszystko jest jej obce, dalekie; nie nie maćci tego przeźrocza duszy, w której tylko niebo i słońce się przegląda. Jagienka wie, że najważniejszem dla niej przykazaniem: być dobrą córką, a potem dobrą żoną. Dobrą—to znaczy uległą. Typ gołębiczy, świecący cnotami przy domowym ognisku. Dla nas dzisiaj podobny typ jest zbyt konserwatywny, przestarzały; my koniecznie musimy widzieć dzieci o twarzy starczej, przedwcześnie zgorzkniałe, przesycone, doświadczone lub wynaturzone.

Państwo Jaworzyńscy wychowali córkę w uległości i posłuszeństwie bez granic, w uwielbieniu bezkrytycznem dla ich działalności i rozkazów, więc też Jagience nawet na myśl nie przyszło zapuszczać skalpel analizy i krytycyzmu pomiędzy swoje otoczenie. Na widowni ich spokojnego życia pojawia się młody literat, Gruszczyński, modny, cieszący się rozgłosem i zwracający na siebie oczy całego intelligentnego świata. Państwo Jaworzyńscy uważają go odrazu za „dobrą partyę“ dla swej małej i sami czynią przedwstępne kroki, aby im to zbliżenie ułatwić. Jagienka patrzy na „literata“, jako na istotę wyższą, niepowszednia, obdarzoną rozumem i zaletami głębszemi, patrzy niemal z nabożną czcią, połączoną z szacunkiem i uwielbieniem. Tymczasem rodzina i otoczenie delikatnie, lecz nieustannie sugestyonują jej miłość dla niego. I staje się, co się stać musi w zwykłych warunkach, gdy się ma lat 18, wierzy i posiada gorące, egzaltowane serduszek. A Gruszczyński, to człowiek w gruncie bardzo marny, zrzeczny blagier, doświadczony balamut, wyrachowany i zimny konkurent przy gładkich pozorach najlepszego syna, obywatela i człowieka, co mu nie przeszkadza prowadzić wcale niedwuznaczny romanś z mężatką i starać się jednocześnie o rękę tego czystego dziecka. Jagienka w swej bezgranicznej naiwności, nie podejrzewając ani na chwilę rodzicielskich planów, otacza dobrocią i miłością ekstazyjną jego kochankę, uważając ją za niedościgły wzór kobiecy. Tak wyzyskują wszyscy naiwne uczucia tego dziecka. Nakoniec Jagienka zostaje oficjalną narzeczoną Gruszczyńskiego; kocha go pierwszą, zbudzoną miłością, w której jest więcej z czci i szacunku, niż z rozwoju wielkiego uczucia. I oto przychodzi dzień, w którym widzi naraz przyrodnią siostrę w objęciach narzeczonego. Uczucie jej rozbite, jak kryształowa amfora, wiara zachwiana, umysł zaciemniony olśniewającą rzeczywistością. Więc to tak bywa? To być nie może! Rodzice jeszcze próbują nawiązać zerwany stosunek. Daremnie! Zawsze uległa dotąd Jagienka, zdobywa się na stanowczą odpowiedź: Nie, nigdy!

Pierwszy cios życiowy zabija ją duchowo, obezwładnia, oszalała, odkrywa przed nią przepaść, brud, podłość, niewyobrażalne jej szczęście pierwszej, idealnej miłości.

W tej rozterce nad siły Jagienka szuka ucieczki w modlitwie. Bez buntu, bez goryczy, lecz z jakąś bolesną skargą i rezygnacją pada na kolana, z uczuciem zdziwienia dla istniejącego porządku świata, z poczuciem ogromu krzywdy, jaką najbliżsi jej sercu i duszy wyrządzili, odsłaniając tak brutalnie zło dotąd skrywane, niwecząc na długo, może na zawsze, wiarę w ludzi i w lepszą część życia. Nieufność i lęk będą stale towarzyszyły jej czynom, paraliżowały wolę, mąciły równowagę. Zda się, iż dusza jej była, jak piękny kwiat, po którym życie przeleciało z siłą huraganu i stratiwało go w zaraniu. W naszej dobie takiej Jagience przystoi miano naiwnej, głupiotkiej—gąski. Tak, gąski, bo nie umiała brać życia takim, jakie jest, idealizowała je, sądziła lepiej, no, i rzecz prosta, zawiodła się.

O wiele lepszy—bo odporniejszy życiowo—typ przedstawia jej siostrzenica—Jaska. Autorka doskonale podchwyciła charakterystykę nowoczesnego podlotka, na polu *enfant-terrible*, uwypukliła ten typ i jako różny biegun przeciwstawiła.

— Jaką wolicie dzisiaj pannę?—zda się pytać autorka czytelników, czy tę, uosabiającą *das ewig Weibliche*, dobrą, uległą i naiwną bez granic, czy taką Jaskę, która obdarzona istic podwójnym wzrokiem, już w 16-ym roku życia, dostrzega błędy w postępowaniu własnej matki, poważy się je sądzić i krytykować. Taka poradzi sobie w życiu z mężem i otoczeniem, wiedząc zawczasu, „jak się brać do rzeczy“ należy. I oto widzimy smutny rezultat życiowy dwójki, sprzecznego wychowania, no i dodajmy, dwóch różnych natur kobiecych.

Autorka dała nam oderwany obraz życia społecznego, nie kusząc się o przeprowadzenie z góry powziętej tendencji. Charakterystyka osób żywa i wypukła. Powieść jest zajmująca i nie traci napięcia w całości.

—gt.—



Kronika działalności kobiecej.



— Paryż. W Konserwatorium Paryskim „Conservatoire de Musique et de Déclamation“, do którego kobiety uczęszczały na koszt rządu na równych prawach z mężczyznami, liczba kobiet została z rozporządzenia ministra Chaumié, ograniczona do czterech. Przeciwnemu obostrzeniu podniosły kobiety protest w dzienniku „Temps.“ Związek kobiecy „Groupe des études féministes“ wystosował do ministra protest na piśmie, za tym zaś przykładem mają pójść inne stowarzyszenia kobiece we Francji.

— Włochy. Opieka nad matkami. Zchwilą jak zostało zatwierdzone prawo z 1902 r., ograniczające pracę kobiet i dzieci w fabrykach, i wzbraniające kobietom przez parę tygodni, po urodzeniu dziecka, powrotu do ciężkiej roboty, wyrosnąć musiała kwestya zabezpieczenia bytu matek, to jest — pytanie z czego ma żyć kobieta podczas owych paru tygodni odpoczynku, przepisanych przez prawo. Ministerjum, obejmujące swym zakresem prawa i przepisy fabryczne, wystosowało ankietę do fabryk, warsztatów, pracowni, dających pracę kobietom, w celu wykazania przeciętnej liczby kobiet, zmuszonych do parotygodniowego odpoczynku, wysokość straty materyalnej jaką przynosi chorej przepisany odpoczynek i t.p. danych. Zebrany materyał ma być podstawą zorganizowania gwarantowanych przez rząd kass pomocy dla matek. Zanim jednak te wielce potrzebne i pożyteczne kasy w życie wprowadzone będą, zorganizowane zostało stowarzyszenie samopomocy kobiet-matek, niezmiernie czynne i zabiegliwe, które, pozyskawszy poparcie wielu wpływowych osób, prawdziwie dobroczynne oddaje usługi.

— Berlin. Czasopismo, wydawane w Berlinie przez Helenę Lange i noszące nazwę „Kobieta“ („die Frau“), z powodu międzynarodowego kongresu stowarzyszeń kobiecych, mającego odbyć się w Berlinie, podaje sze-

reg. zajmujących artykułów, poświęconych wybitniejszym przedstawicielkom związków zagranicznych.

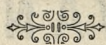
W zeszycie marcowym znajduje się obszerna i żywo skreślona biografia znakomitej pionierki ruchu kobiecego w Ameryce, p. Suzan B. Anthony, która mimo swego podeszłego wieku (liczy lat 84), nie waha się odbyć podróży do Europy, dla uczestniczenia w kongresie.

Zeszyt kwietniowy podaje wyborną sylwetkę Lady Aberdeen, drugiej przewodniczącej w kongresie. Jako żona liberalnego członka Izby wyższej, lorda Aberdeena, który za czasów ministerium Gladstona, piastował godność wice-króla Irlandii a później przez lat pięć był wielkorsządką w Kanadzie, przede wszystkim zaś, jako przewodnicząca i kierowniczka wielkich, politycznych kobiecych związków w Szkocji, Lady Aberdeen życiem swoim i działalnością wielokrotnie związana jest z historią polityczną Anglii. Niezmordowana jej gorliwość w przeprowadzeniu umiłowanych przez nią idei, świecić może dla młodszych kobiet przykładem.

— Szwecya. Rząd szwedzki wyznaczył komisję, która ma się zająć obmyśleniem i zastosowaniem środków, najskuteczniej działających przeciw szerzeniu się chorób zakaźnych. Do komisji, której inicjatorem jest król, należy kilku lekarzy a w liczbie ich znana w Szwecji lekarka, doktor medycyny, Anna Sundquist, od lat paru zajmująca stanowisko lekarza w głównej poliklinice, w Upsali, w oddziale chorób kobiecych i dziecięcych.

— Norwegia. Od dnia 22-go Marca r. b. w Norwegii praktykuje pierwszy adwokat-kobieta. W owym dniu zatwierdzone zostało prawo, przyjęte przez obie Izby, mocą którego wolno kobietom w Norwegii zajmować się adwokaturą i prowadzeniem spraw sądowych. Pierwsza, która z tych nowych praw korzysta, jest panna Eliza Sem. Złożyła ona z powodzeniem egzamin państwowy, a ponieważ liczy sporą garstkę uniwersyteckich towarzyszek, nie długo zapewne przestanie być jedyną na nowej drodze przykładem.

Z. S.



Nasz ul.



— Dnia 27-go b. m. w kościele ŚŚ. Piotra i Pawła na Koszykach nastąpiło odsłonięcie pomnika ś. p. Piotra Steinkellera.

— Dnia 21-go b. m. Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie rozstrzygnęło doroczny konkurs na utwory z dziedziny malarstwa, sztuki zdobniczej-dekoracyjnej i sztuk graficznych.

Za najlepsze dzieła konkursowe, posiadające istotną wartość artystyczną, Towarzystwo przeznaczyło następujące nagrody pieniężne: w dziale malarstwa 400, 200 i 100 rubli; w dziale ornamentyki plastycznej i malarskiej, oraz reprodukcji graficznej po jednej nagrodzie 100 rub. Nadto za prace graficzne wyznaczono bezimienną nagrodę dodatkową 50 rubli.

Sąd konkursowy składał się z członków komitetu Towarzystwa Sztuk Pięknych, ze współudziałem wybranych artystów; w dziale malarstwa pp. F. Ruszczyca i A. Austena; w dziale ornamentyki pp. W. Trojanowskiego i F. Jabłczyńskiego.

Pierwszą nagrodę w dorocznym konkursie uzyskał p. Teodor Ziomek za „Krajobraz zimowy“, malowany miętko, z odczuciem natury i nastroju.

Współrzedną drugą nagrodę przyznano znanemu artyście, Stanisławowi Lencowi, za obraz, przedstawiający typy trzech starych marynarzy.

Trzecią nagrodę zdobył obraz p. Zygmunta Andrychiewicza, zatytułowany „Magdalena“.

Po za temi głównymi odznaczeniami, wyróżniono listem pochwalnym pracę p. Kuczborskiego, p. t. „Pogrzeb wiej-

ski“, tudzież Józefa Rapackiego za obraz „Kwiecień“, oraz Mieczysława Trzcieskiego za „Bramę Floryańską“, nakoniec, Maryana Trzebińskiego za „Stare Miasto“ w nocnym oświetleniu.

Cały szereg młodych, próbujących dopiero sił swoich, i dobrze już zasłużonych sztuce malarzy, wziął udział w konkursie i nadesłał znaczną ilość prac, dla braku jednak miejsca niepodobna nam wyliczać wszystkich nazwisk i kompozycji.

W dziale zdobniczym, ornamentacyjnym, nie nagrodzono nikogo z tej pracy.

W dziale sztuk graficznych przyznano nagrody: pp. Zofii Stankiewiczównie za doskonałą akwatyntę „Chata“, p. Franciszkowi Siedleckiemu za portret akwafortowy Cypriana Norwida, p. Gottliebowi za autolitografię i p. Władysławowi Kleinowi za drzeworyty.

— Warszawskie Towarzystwo Artystyczne na skutek propozycji Zarządu Stowarzyszenia Techników, ogłasza powtórnie konkurs na projekty dwóch pojedynczych figur, mających zdobić fasadę gmachu przy ul. Włodzimierskiej.

Szkice powinny być zrobione w gipsie, wymiaru 60 cm. wysokości.

Nagroda za najlepszy projekt wynosić będzie rubli 200. Temat kompozycji dowolny, zastosowany jednak do gmachu, utrzymanego w stylu późnego Odrodzenia francuskiego.

Projekty, opatrzone godłem, wraz z zamkniętą kopertą, zawierającą nazwisko i dokładny adres autora, należy nadsyłać do dnia 1-go Czerwca r. b. do Warszawskiego Towarzystwa Artystycznego (Królewska, 41).

Sędziami konkursu mianowani są pp.: prof. Pius Wołoski, St. Jagmin, M. Kotarbiński, B. Rogóyski, J. Heinrich; zastępcami pp.: Fr. Kotowicz i A. Kędziński.

— Dnia 18-go b. m. rozstrzygnięto konkurs, ogłoszony przez „Związek studentów architektury we Lwowie“ na przebudowę domu mieszkalnego p. Skibniewskiego w Holzubińcach w gub. Podolskiej.

Z nadesłanych 6-ciu prac, pierwszą nagrodą odznaczono kompozycję, opatrzoną godłem „Irys“ p. Wiesława Grzymańskiego, słuchacza architektury we Lwowie, drugą przyznano pracy (godło „In mundo...“) Adama Ballenstedta, studenta architektury w Karlsruhe. Nadto polecono zakupić prace, opatrzone następującymi godłami: „Światowid“ i „O. S. w kole“.

— Komitet warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego ogłosił konkurs na „Wioślanke“, t. j. na słowa do pieśni wioślarskiej, ułożonej na chór męzki — z funduszu ofiarowanego przez W. Józefa Stanisławskiego. Ilość wierszy około 20-tu. Nagroda rubli 75. Każdy z autorów ma prawo nadesłać kilka utworów. Na sędziów wybrani zostali: K. Bartoszewicz, W. Jabłonowski, W. Rabski i M. Zawirski. Prace przysyłać należy pod adresem: Warszawa, Towarzystwo Wioślarskie, ulica Foksal nr 19. Termin nadsyłania utworów upływa z dniem 15-go Maja r. b.

— Proszono nas o zaznaczenie, iż Biuro poszukiwania pracy dla ubogich pod przewodnictwem ks. W. Kirchnera, przeniesione zostało na ulicę Żórawią n-r 26, m. 3. Telefonu n-r 3,188.

Poleca wszelkiego rodzaju pracowników, pośredniczy bezpłatnie, przyjmując ofiary na instytucję.

— Dnia 11-go b. m. w Cieszyźnie na Szlaku obchodził

70-tą rocznicę urodzin Jerzy Cieńciała, poseł do sejmiku krajowego szląskiego, znany chlubnie ze swej działalności społecznej i kulturalnej. Cieńciała pochodzi z rodziny włościańskiej, własną pracą wybił się na stanowisko obecne. Ukończył kilka klas w gimnazjum cieszyńskim, poczem z wiarą, energią i zapalem rzucił się do szerszego działania. Założył „Czytelnię ludową“, zorganizował „Towarzystwo Rolnicze“ z gospodarzy całego Szląska i przewodniczył mu po dzień dzisiejszy, przemawiając gorąco na zebraniach. W ciągu lat 6-tych był posłem do Rady Państwa w Wiedniu, gdzie należał do Koła polskiego.

— Dnia 14-go b. m. zmarł w Zakopanem znakomity matematyk Władysław Folkierski, przeżywszy lat 62.

— Dnia 16-go b. m. zmarł w Londynie Samuel Smiles, swego czasu głośny socjolog i badacz natury ludzkiej. Słynne jego dzieło „Self-help“ (Samopomoc) zjednało mu rozgłos i licznych zwolenników nauki. Pierwszem jego dziełem, które przeszło bez wrażenia, był życiorys Jerzego Stephensona, wynalazcy lokomotywy. Z innych utworów pozostawił po sobie: „Życiorysy inżynierów“ i „Życiorysy przemysłowców“, „Hugonotów“ i „Charakter“. Zmarły dożył sędziwego wieku 93 lat.



ODPOWIEDZI.

— Prenumeratorce z Horodyszcza. — Z przyjemnością zwracamy uwagę Szan. Pani, że wzór szlafroka znajduje się w numerze bieżącym (nr 3-ci). Z łatwością z wzoru tego można też sporządzić szlafrok skromniejszy, do prania, bez koronek i gładkim haftem lub koronką oszytym kołnierzem.

— Złożono w Administracji naszego pisma dla bardzo chorej na płuca nauczycielki z matką sparaliżowaną:

„Ziarnko do ziarnka:“ M. K. rub. 1, wygrane w szachy kop. 50, Ap. Ol. kop. 10.

Treść numeru:

Piotr Chmielowski, przez T. Jeske-Choińskiego. — Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicz (ciąg dalszy). — Z podmuchem wiosny (wiersz), przez Antoniego Koźluka. — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Moralne wpływy w ustroju fizycznym człowieka, podług d-ra Feliksa Régault, przez Wł. Zarembinę. — Jabłko (z H. G. Wellsa). — W jaki sposób żyć można w Paryżu za ośm sous dziennie, przez M. K. — Z listów do „Bluszezu:“ ze Lwowa, przez d-ra F. N. — Na półkach księgarskich, przez gt. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 18-ty powieści „Miłość moim grzechem“ w przekładzie z francuskiego M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 26). — Przepisy kuchenne.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszc“

KSIAŻKA ZBIOROWA p. t.

„KOBIETA WSPÓŁCZESNA“

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszc“.

Prenumeratorki „BLUSZCZU“ płacą za powyższe dzieło tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 55 w WARSZAWIE.

Poleca w wielkim wyborze:

PŁÓCIENKA, SATYNY, ZEFIRY, KRÉTONY, PIKI, BATYSTY,

oraz dreliszki na ubrania męskie, dziecięce i liberyjne.

Pledy powozowe, koldry flanelowe i inne. Materiały na derki letnie dla koni. Worki, Wańtuchy. Płótno do suszenia chmielu.

Kolorową damską i męską bieliznę.

Gotowe wyprawy od Rb. 100.

Próby—franco.

Patentowany Angielski ANTI-GORSET

„PLATINUM“,

odznaczony na wszystkich wystawach Europy.

Główne jego zalety są:

nie posiada brykli i bocznych stałek, gdyż zapieczętowanie nowej konstrukcji w zupełności je zastępuje;

może być w każdej chwili wyprany jak zwykła bielizna, albowiem platinki mogą być lekko wyjęte i wstawiane bez prucia i szycia.

Platinki są elastyczne, miękkie, lekkie, plecione jak włos, nie rdzewieją nie łamią się nigdy i dlatego każda dama może anti-gorset nasz swobodnie przez dzień cały nosić, nie doznając najmniejszego ciśnienia na organizm.

Materiał gorsetu mocny, kolor trwały, a przez brak części stalowych zyskuje dużo na lekkości.

Przez swój dobry fason i odpowiedni krój, gorset nasz daje się do każdej figury zastosować.

Osoby brzemiennie mogą dowolnie gorset nasz rozszerzyć lub zwęzić, karmiące zaś nie rozpinając karmić.

Ażeby zaznaczyć jak najszerszy ogół z naszym udoskonalonym Anti-Gorsetem „Platinum“ wyznaczaliśmy możliwie niskie ceny, a mianowicie:

Drill 4.85; batyst. 6.50; tiulowy 7.00; batystowy jedwabny w deseń 9.00; satyn jedwabny 12.00.

Dla brzemiennych, karmiących, oraz bardzo pełnych 50 kop. drożej.

Zamówienia zamiejscowe wysyłamy za zaliczeniem pocztowym bez zadatku. Za przesyłkę liczymy kop. 50. Przy zamawianiu trzech lub więcej sztuk, przesyłka na nasz koszt. Do obstalunku należy dołączyć miarę w jednym z wymienionych sposobów:

1) Numer noszonego gorsetu, 2) albo wymiar szerokości jednej połowy noszonego gorsetu w piersiach, talii i biodrach, albo 3) Panie gorsetów nie używające, zechcą mierzyć, będąc ubrane w stanik, w około pod pachami: pełny obwód w piersiach, talii i biodrach, (nie nie odliczwszy i doliczwszy).

Gorsety, wysyłane pocztą, jeżeli okażą się nieodpowiednimi, zamieniamy na swój koszt.

Patent 10-letni na Rosję za № 1324. Wyłączna sprzedaż na Cesarstwo i gub. Królestwa Polskiego:

W fabrycznym składzie „HYGIENA” Senatorska 32 w Warszawie.



DARMO

dla wypróbowania otrzyma każda z pań, zgłaszająca się do biura naszego 1 kawałek

TROPELINU

środką, zastępującego sodę, potaż, chlerek, bielidło i t.p. środki, używane przy praniu bielizny. Środek wypróbowany, absolutnie nie niszczy bielizny, nadający błyszczącą białość, a nie niszczy kolorów.

JÓZEF GRZYWACZEWSKI i S-ka

Warszawa, Warecka Nr. 10. Telefon Nr. 1030.

ZAKŁAD HODOWLI DROBIU RASOWEGO

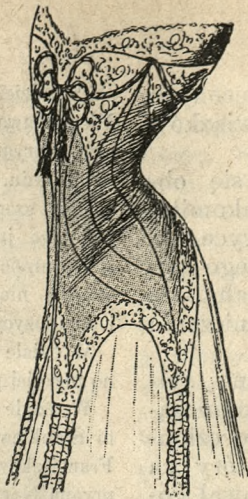
Izabelli Ryxowej

w Prażmowie, p. Grójec (g. Warsz.), ma:

do Sprzedania.

1) Indory brązowe, amerykańskie i indory czarne, francuskie, Solońskie, zahartowane na deszczu, rosie i mrozie. Cena 10 rb. sztuka. 2) Gąsiorzy rasy Emdeńskiej, wielkie, śnieżnobiałe, tegorocznego lęgu, wyborne reproduktory dla odświeżania krwi. Cena 8 rb. sztuka. Indyki i gęsi (samice) tychże ras na sprzedaż przeznaczone, już wszystkie wyprzedane.

Magazyn Gorsetów
Aux quatre Saisons
Wierzbowa 6.



Poleca najświeższe fasony paryskie.

Ciechocinek,

Pensjonat „Zachęta” Heleny Kuczalskiej i S-ki, powiększony o 43 pokoje przez wydzierżawienie 2 willi przy ul. Wysokiej (obok kościoła, kąpieli i parku). Na żądanie kuchnia dyetetyczna pod nadzorem lekarza mieszkającego w pensjonacie. Opieka nad ciężko chorymi. Masaż, gimnastyka szwedzka lecznicza i pedagogiczna na miejscu. W dawnej Zachęcie czytelnia, pianino, rower, tenis, opieka nad młodzieżą. W obu kuchnia staranna, ceny niskie, pokój, pościel, całkowite utrzymanie od 2 rb. W maju 10% niższe. Zamawiać do 15 maja. Warszawa, Mońszki 9, później Ciechocinek.

Palta nieprzemakalne

otrzymał świeży transport

G. EHLERT,

Senatorska № 19, 1-e piętro

wprost Daniłowiczowskiej.

FUTRA

na letnie przechowanie

przyjmuje Skład Futer

A. CHOWANCZAKA

Krakowskie Przedmieście 17. Telef. 34.

Specjalne na ten cel urządzone składy.

Kartka do przywożenia i odwożenia bezpłatnie.

„Naokoło świata”

Pismo tygodniowe ilustrowane,

poświęcone opisom ziem, ludów, podróży, zjawisk przyrody i wynalazków

Trzeci rok wydawnictwa.

Program pisma. Opisy podróży lądowych i morskich. Artykuły popularno-naukowe z dziedziny przyrodoznawstwa i geografii. Krajoznawstwo ze szczególnym uwzględnieniem kraju własnego. Panorama ludów (opisy ludów we wszystkich częściach świata, zwyczajów, wierzeń i t.p.). Pogadanki z higieny i medycyny popularnej. Postępy techniki i przemysłu. Dla miłośników fotografii. Astronomja amatorska oraz Kronika esperantyczna

zawierająca wiadomości i informacje o języku Esperanto.

po raz pierwszy wprowadzona w piśmie polskim.

Warunki przedpłaty:

w Warszawie:

Rocznie rb. 4.
Półrocznie „ 2.
Kwartalnie „ 1.

w Królestwie i Cesarstwie:

Rocznie rb. 5 kop. —
półrocznie „ 2 „ 50
kwartalnie „ 1 „ 25

Za odnośnienie do domu w Warszawie 15 kop. Prenumerata zagranicą 6 rb. rocznie.

Przedpłatę przyjmują księgarnie oraz Administracja tygodnika „Naokoło świata” Wspólna 71 w Warszawie.

Numery okazowe bezpłatnie.

Wydawca: Antoni Orłowski.

Za redaktora: Antoni Orłowski.

Wydawca: Piotr Laskauer.— Redaktor: Maryan Gawalewicz.